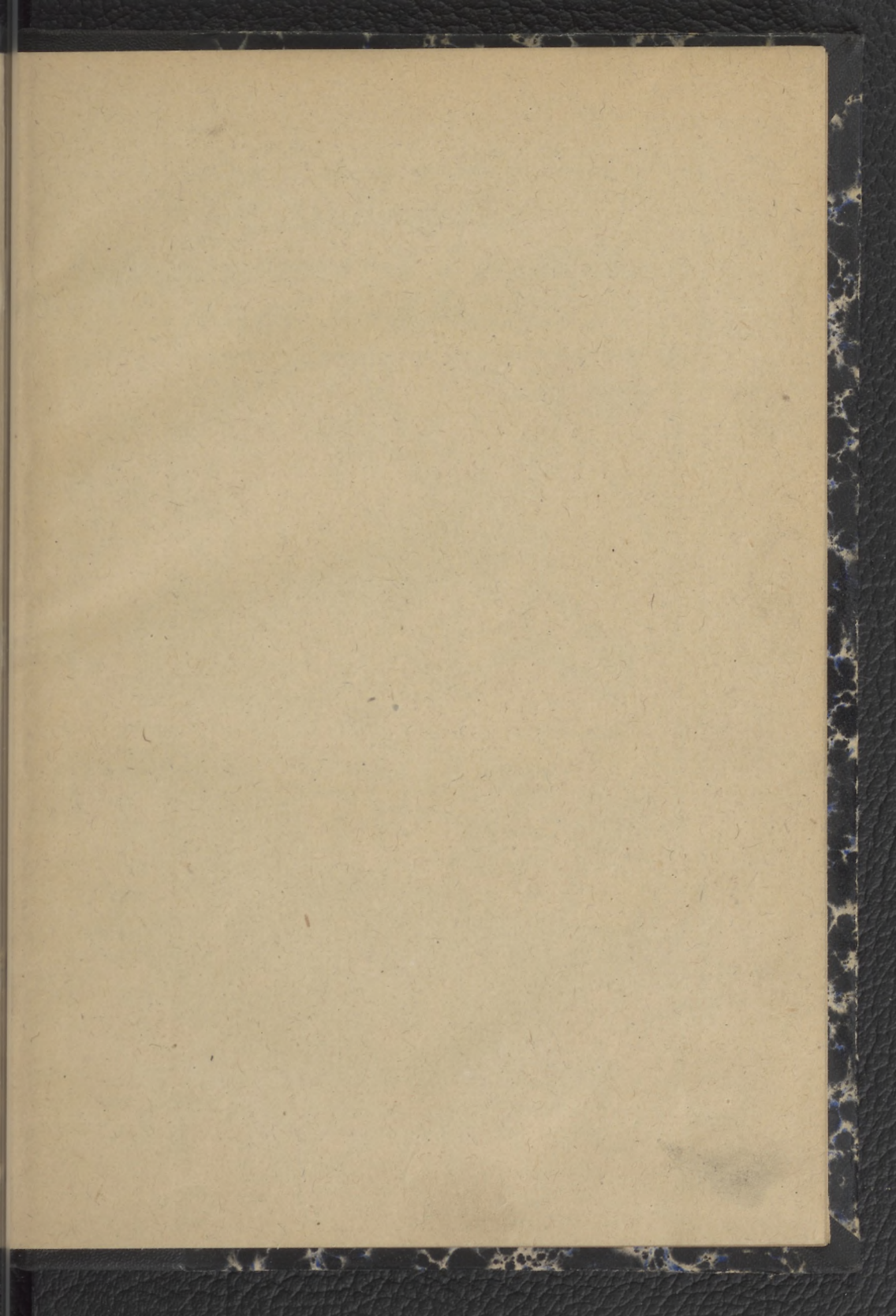
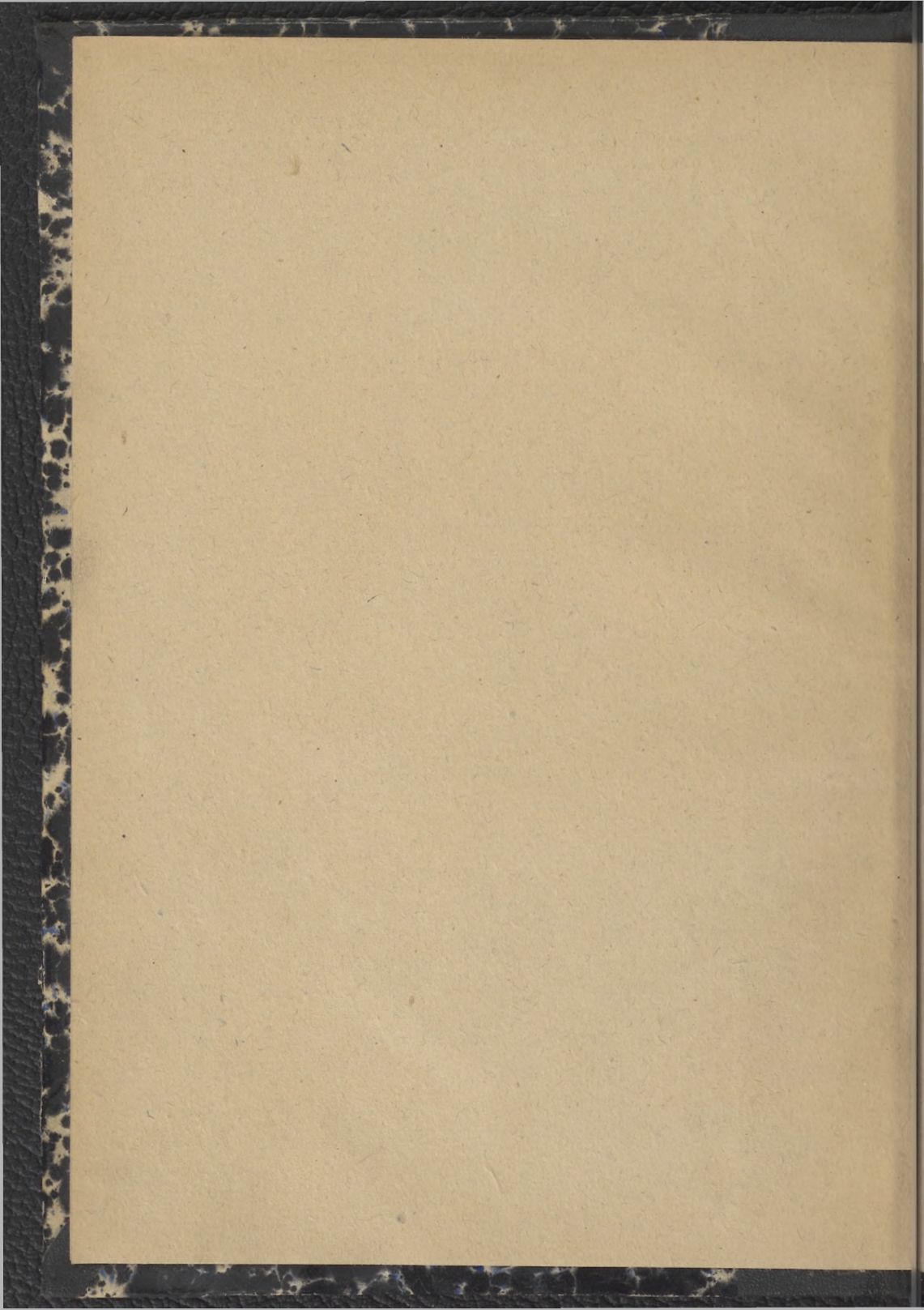


II 1.415.710





F. Dostojewski.
Bulwarzyna i mąż
pod łóżkiem.



Z. Kurczyński.

Włocławek 1885



FIODOR DOSTOJEWSKI

CUDZA ŻONA I MAŻ POD ŁÓŻKIEM

(NIEZWYKŁE ZDARZENIE)

50

Z ROSYJSKIEGO PRZEŁOŻYŁ

SYDIR TWERDOCHLIB

WE LWOWIE
NAKŁADEM LUDOWEGO SPÓŁDZIELCZEGO TOW. WYDAWNICZEGO
1922

RYSUNEK TYTUŁOWY WYKONAŁ ZYGMUNT KURCZYŃSKI



II 1.415.710



Biblioteka Narodowa
Warszawa

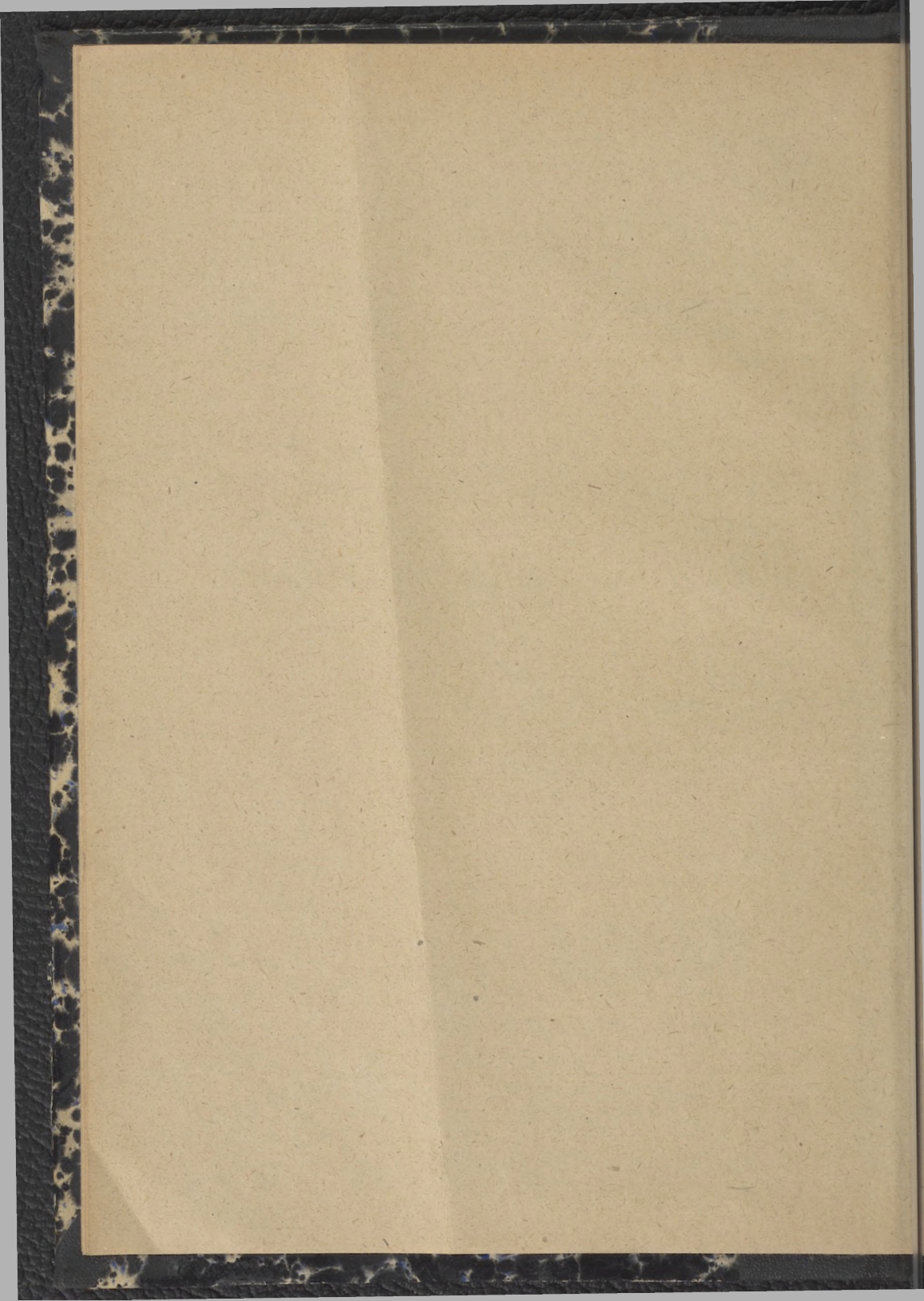


30001020736536

Z Drukarni Ludowego Spółdziel. Towarzystwa Wydawniczego
we Lwowie, ul. Leona Sapiehy 77

1996K 1396/10

CUDZA ŻONA I MAŻ POD ŁÓŻKIEM



— Przepraszam, łaskawy panie, pozwól pan zapytać...

Przechodzień drgnął i nieco przestraszony spojrzął na jegomościa w jonatach, który podszedł do niego tak obcesowo o godzinie 8 wieczorem na ulicy. Wiadomo bowiem, że w Petersburgu jeśli jeden jegomość nagle zagadnie na ulicy drugiego, zupełnie mu nieznanego, to ten drugi niechybnie się przestraszy.

A więc i przechodzień nasz drgnął i nieco się przestraszył.

— Proszę wybaczyć, że przestraszyłem pana — mówił pan w jonatach — ale... ja, istotnie, nie wiem... pan, prawdopodobnie, wybaczy pan... widzi pan, jestem trochę zdenerwowany...

Teraz dopiero zauważył młody człowiek w płaszczu, że pan w jonatach rzeczywiście był zdenerwowany. Zmarszczona twarz jego dość była blada, głos drżał, myśli, oczywiście, płątały mu się, słowa zaczepiały się o język i widoczne było, że mówiący je musi podjąć straszliwy wysiłek, by ostatecznie wykrztusić swą pokorną prośbę do może niższego stopniem lub stanem rozmówcy swego, w koniecznej potrzebie zwrócenia się do kogokolwiek ze swą prośbą. Wkońcu zresztą, prośba ta w każdym razie była nieprzyzwoita, niesolidna, dziwna ze strony właściciela tak solidnego futra, tak szanownego, wspaniałego wprost fraka barwy ciemnozielonej i tyłu wcale znamiennych ozdób, pstrzących się na nim. Widać było, że wszystko to razem bardzo mięszało samego jegomościa w jonatach, tak, że ostatecznie zdenerwowany do żywego,

nie wytrzymał, postanowił stłumić swe wzburzenie i grzecznie zatrzeć nieprzyjemne zajście, które sam wywołał.

— Wybacz pan, że straciłem panowanie nad sobą: ale, prawda, pan mnie nie zna... Proszę wybaczyć, że przestraszyłem pana; rozmyśliłem się.

W tem miejscu z szacunkiem uchylił czapki i — pobiegł dalej.

— Ależ pozwól pan, panie!

Lecz pan niskiego wzrostu skrył się już w ciemnościach, zostawiając młodego człowieka w płaszczu, w zupełnym osłupieniu.

„Co za dziwak!“ — pomyślał pan w płaszczu. Następnie, gdy już, jak się patrzy, dość się nadziwił i wkońcu wyszedł z osłupienia, przypomniał sobie własne swe sprawy i znowu zaczął przechadzać się tam i z powrotem, uparczywie patrząc na bramę pewnego domu o nieskończonej ilości piąter. Mgła poczęła zapadać. młody człowiek był z tego zadowolony, bo przechadzanie się jego podczas mgły nie wpadało tak w oczy, choć zresztą tylko jaki-taki doróżkarz, który beznadziejnie dzień cały tkwił na miejscu, czekając chętnego gościa, mógł być nań zwrócić uwagę.

— Przepraszam pana!

Przechadzający się znowu drgnął i oto znowu ten sam pan w jonatach stał przed nim.

— Przepraszam, że ja znowu... — przemówił tenże, — ale pan... jest napewno człowiekiem szlachetnym! Proszę nie zwracać na mnie uwagi, jako na jednostkę w znaczeniu towarzyskiem: zresztą, ja nie to chciałem powiedzieć; proszę wniknąć z ludzkiego stanowiska... przed panem, szanowny panie, stoi człowiek, mający wielką, a uniżoną prośbę...

— Proszę bardzo... jeśli tylko będzie w mojej mocy... czego pan sobie życzy?

— Pan pomyślał może, że ja potrzebuję pożyczki! — rzekł zagadkowy jegomość, wykrzywiając usta i zbladł, śmiejąc się histerycznie.

— Ależ proszę pana.

— Nie, widzę jednak, że jestem zbyt natrętny! Przepraszam pana bardzo, ja sam siebie znieść nie mogę; proszę mieć na względzie, że, jak pan widzi, jestem mocno rozdrażniony, obłąkany prawie, proszę jednak nie sądzić...

— Do rzeczy jednak, do rzeczy! — odpowiedział młody człowiek zachęcając i niecierpliwie kiwnął głową.

— A, to tak! Pan, taki młody człowiek, wzywa mnie, abym mówił do rzeczy, jakgdybym był nieporadnym malcem! Stanowczo, jam zmysły postradał!... Jakże ja się panu teraz przedstawiam w mem poniżeniu, proszę mi szczerze powiedzieć.

Młody człowiek zmięszał się i milczał

— Pozwoli pan, że zapytam otwarcie: czy nie widział pan pewnej pani? Oto i cała moja prośba! — wypalił wkońcu pan w jonatach...

— Pani?

— Tak, pewnej pani,

— Owszem, widziałem... ale wie pan, tyle ich tędy przeszło...

— Tak, istotnie — odparł zagadkowy mężczyzna z gorzkim uśmiechem. — Bredzę, właściwie nie o to chciałem zapytać, pan wybaczy: chciałem powiedzieć, czy pan nie widział pewnej pani w lisiem futerku, w ciemnoaksamitnej kapuzie z czarną woalką?

— Nie, takiej nie zauważyłem... niestety nie.

— A, w takim razie przepraszam!

Młody człowiek chciał jeszcze o coś zapytać, lecz pan w jonatach zniknął znowu, i znowu zostawił swego cierpliwego słuchacza w osłupieniu. A niech go djabli!..."

pomyślał młody człowiek w płaszczu, widocznie zdenerwowany.

Ze złością podniósł do góry swój kołnierz bobrowy i znowu począł się przechadzać, zachowując wszelkie ostrożności. przed bramą wielupiętrowej kamienicy. Wściekał się.!

„Czemuż to ona nie wychodzi? — myślał — wnet już ósma wybije!“

Na wieży wybiła ósma godzina.

— Ach, do djabła!

— Przepraszam!

— Proszę wybaczyć, że ja tak pana... Ale pan tak jakoś podtoczył mi się wprost pod nogi, że przestraszył mnie pan zupełnie — przemówił przechadzający się, marszcząc brwi i przepraszając.

— Ja znowu zwracam się do pana. Na pewno muszę się panu wydawać dziwnym, może nawet natrętnym.

— Bądź pan łaskaw, bez pustych słów, jasno się wyrazić; wszak nie wiem dotychczas, czego pan sobie życzy?...

— Pan się śpieszy? Otóż widzi pan, opowiem panu wszystko otwarcie, bez zbytecznych rozwlekłości. Cóż robić! Warunki nieraz zbliżają ku sobie ludzi, najzupełniej różniących się charakterami... Ale, widzę, że pan się niecierpliwi, młody człowieku... A więc... zresztą, nie wiem doprawdy, jak mam powiedzieć: ja szukam pewnej pani (skorom już postanowił wszystko powiedzieć). A mianowicie, muszę koniecznie dowiedzieć się, dokąd poszła ta pani? Kto ona — sądzę, że nie potrzebuje pan znać jej nazwiska, młody człowieku.

— No, no, dalej!

— Dalej! Ton, ton, w jakim pan przymawia! Pan wybaczy, może ja pana obraziłem, nazywając go młodym człowiekiem, wcale jednak nie miałem zamiaru... słowem,

jeśli pan chce mi wyświadczyć wielką przysługę, to, jak już powiedziałem: pewna pani, jest to, powiedzmy, pewna przyzwoita pani, z bardzo dobrej, znanej mi rodziny... Proszono mnie... bo widzi pan, ja sam nie mam rodziny...

— No, więc?

— Proszę wejść w moje położenie, młody człowieku (ach, znowu! przepraszam; ciągle nazywam pana młodym człowiekiem). Tu każda minuta jest droga... Wyobraź pan sobie, ta pani... ale, czy nie mógłby mi pan powiedzieć, kto w tym domu mieszka?

— Owszem... mieszka tu dużo ludzi.

— Tak, pan masz zupełną rację — odpowiedział pan w jonatach, i uśmiechnął się lekko z grzeczności, — ja sam to czuję, że trochę bredzę... ale pocóż ten ton z pańskiej strony? Wszak widzi pan chyba, że ja otwarcie z serca się przyznaję do tego, że bredzę, i jeśli pan należy do typu ludzi dumnych, to dość już chyba ma pan mego poniżenia... Powiadam, pewna pani, szlachetna ze sposobu ujmowania życia, to jest lekka z treści, — przepraszam, pomięszałem, jakgdybym mówił o literaturze; utarł się komunał, że romanse Paul'a de Cock'a są lekkiej treści, i oto cała bieda... z powodu Paul'a de Cock'a... właśnie...

Młody człowiek ze współczuciem popatrzył na pana w jonatach, który, widocznie, do ostateczności zmieszany, zamilkł, patrzył na niego, bezmyślnie się uśmiechając, i drżącą ręką bez żadnego słusznego powodu, ujął go za wyłogi płaszcza.

— Pan zapytywał, kto tu mieszka? — rzekł młody człowiek, trochę cofając się w tył.

— No tak, tu mieszka dużo ludzi, jak pan powiedział.

— Tu... wiadomo, że tu mieszka także Zofja Astafjewna — przemówił młody człowiek szeptem i jakby z pewnem ubolewaniem.

— No, widzi pan, widzi pan! Więc pan wie coś jednak, młody człowieku?

— Zapewniam pana, że nic, nic nie wiem... Sądziłem tylko ze zdenerwowania na pańskiej twarzy.

— Przed chwilą właśnie dowiedziałem się od służącej, że ona tu uczyścza; pan jednak omyliłeś się w swych przypuszczeniach, to jest, ona wcale nie do Zofji Astafjewny... ona wcale jej nie zna...

— Nie? No, to przepraszam.

— Widzę, że pana wszystko to nie obchodzi, młody panie — rzekł dziwny jegomość z gorzką ironją.

— Słuchaj pan — rzekł młody człowiek, ociągając się. — Co do mnie, istotnie nie znam powodów pańskiego stanu, ale jeśli się nie mylę, to pana zdradzono, niechże pan powie pro prostu?

Młody człowiek życzliwie się uśmiechnął, dodając ducha.

— Wszak ostatecznie można się wzajem zrozumieć — dodał, i cała jego postać wielkodusznie okazała zamiar ukłonienia się zlekka.

— Zabiłeś mnie pan swoją otwartością! Lecz — szczerze się panu przyznaję — tak jest rzeczywiście... Komuż to się jednak nie przytrafiło!... Do głębi wzruszony jestem pańskim współczuciem. Zgodzi się pan ze mną, że między młodymi ludźmi... I choć ja nie jestem już młody, ale, wie pan, przyzwyczajenie, kawalerskie życie, między kawalerami, wiadomo...

— No, to się wie, to się wie! Ale w czemże ja mogę być panu pomocnym?

— Zaraz; zgodzi się pan ze mną, że odwiedzać Zofję Astafjewnę... Zresztą, ja nie wiem jeszcze na pewno, dokąd ta pani poszła; wiem tylko, że ona jest tu, w tym domu; widząc zaś, że pan chodzi tam i z powrotem — a ja sam przechadzałem się tędy, — myślę sobie... widzi

pan, ja czekam na tę panią... o, wiem na pewno, że ona jest tu — chciałbym bardzo spotkać ją i wyłuszczyć jej, jak bardzo nieprzyzwoitą, wprost haniebną jest rzeczą... słowem, pan mnie rozumie...

— Hm! No?

— Ja nie dla siebie to czynię; niech pan nie myśli — to jest cudza żona! Mąż czeka tam, na Wozniesieńskim moście; chce ją złapać, ale jeszcze się namyśla, — jeszcze nie wierzy, jak każdy mąż zresztą... (tu pan w jonatach chciał się uśmiechnąć), ja zaś — jestem jego przyjacielem; przyzna pan sam, że ja, człowiek cieszący się powszechnym szacunkiem, — nie mogę być tym, za kogo pan mnie ma.

— Naturalnie. No? No?

— Tak więc ja ją łapię, mnie proszono o to (biedny mąż!); ale ja wiem, że to bardzo chytre stworzenie ta młoda kobieta (zawsze śpi z Paul'em de Cock'iem pod poduszką); pewny jestem, że ona wyśliznie mi się znowu niepostrzeżenie... Służąca, przyznam się panu, mówiła mi, że ona tu bywa; ja, jak warjat, zaraz poleciałem, dostawszy tę wiadomość; chcę ją złapać; dawno już podejrzywałem ją, i dlatego chciałem pana prosić, skoro pan już tu chodzi... pan — panie — nie wiem...

— No, więc, ostatecznie czegoż pan sobie życzy?

— Tak... Nie miałem dotychczas zaszczytu poznać pana; nie śmiem narzucać się z ciekawością, z kim mam przyjemność... W każdym razie, pozwoli pan, że się zaznajomimy; bardzo mi przyjemnie!... co za szczęśliwy traf!...

Drżący jegomość uściśnął gorąco rękę młodego człowieka.

— Powinienem był to uczynić na samym początku — dodał — lecz zapomniałem o tym nakazie przyzwoitości!

Mówiąc to, pan w jonatach nie mógł ustać na miejscu, rozglądał się z niepokojem na wszystkie strony, przestępował z nogi na nogę i co chwila, jak tonący, chwycił się ręką wyłogów płaszczka młodego człowieka.

— Widzi pan, — ciągnął dalej — chciałem zwrócić się do pana po przyjacielsku... proszę mi wybaczyć swobodę w mojem zachowaniu... chciałem pana poprosić, by pan był łaskaw przechadzać się zarówno po tej stronie, jak i po stronie drugiej tego domu przez przecznice, to jest niejako opisując krokami podkowę, ponieważ z tamtej strony znajduje się druga brama tej kamienicy. Ja ze swej strony będę się także przechadzał tam i z powrotem obok bramy głównej, tak że ona się nam nie wymknie; a ja sam zawsze się obawiałem, że jej nie dostrzegę. Gdy ją pan zobaczy, proszę ją zatrzymać i zawołać mnie... Ale co też ja mówię! zwarzowałem chyba! Teraz dopiero widzę całą głupotę i nieprzyzwoitość swojej propozycji.

— Ależ to drobnostka! doprawdy!..

— Niech mnie pan nie usprawiedliwia; jestem rozdrażniony, naprawdę, tracę panowanie nad sobą, jak nigdy! Jakgdybym stał przed trybunałem! Przyznam się panu nawet — będę uczciwy i szczery wobec pana, młody człowieku; ja nawet pana samego miałem z początku za kochanka!

— To jest, poprostu chce pan wiedzieć, co ja tu robię?

— Zacny człowiecze, łaskawco szanowny, daleki jestem od myśli, że pan jesteś nim; nie splugawię pana tą myślą, lecz... czy daje mi pan słowo honoru, że pan nie jesteś kochankiem?..

— No, dobrze, ma pan słowo honoru, że jestem kochankiem, ale nie pańskiej żony; w przeciwnym razie nie byłbym teraz na ulicy, tylko z nią razem!

— Żony? Kto panu powiedział, że ja mam żonę, młody człowieku? Jestem kawalerem, to jest, ja sam jestem także kochankiem...

— Opowiadał mi pan, że mąż... czeka na Woznie-
sieńskim moście...

— Prawda, prawda, wymknęło mi się; ale zachodzą tu jeszcze pewne komplikacje! Przyzna pan, młody człowieku, że pewna wrodzona lekkomyślność charakterów, chciałem powiedzieć...

— No, no! dobrze już, dobrze!

— Zaręczam panu, że nie jestem mężem...

— Przypuśćmy. Powiadam panu otwarcie, że pocieszając pana teraz, pragnę tem samem siebie uspokoić i dlatego w gruncie rzeczy jestem z panem otwarty; zdenerwowałaś mnie pan i przeszkadzasz mi. Przyrzekam panu, że zawołam, jak pan sobie życzył. Proszę pana jednak bardzo, bądź pan łaskaw teraz ustąpić mi miejsca i oddalić się. Ja także oczekuję kogoś.

— Proszę, proszę pana bardzo; już odchodzę, szanuję namiętą niecierpliwość serca pańskiego. Ja to rozumiem, młody człowieku. O, jak ja teraz rozumiem pana!

— Dobrze, dobrze...

— Do widzenia!... Zresztą, niech pan daruje, młody człowieku, że ja znowu... Nie wiem, jak się mam wyrazić... Proszę mi dać jeszcze raz uroczyste słowo honoru, że pan nie jesteś kochankiem!

— Ach, Boże!

— Jeszcze tylko jedno, ostatnie pytanie; zna pan nazwisko męża pańskiej... to jest tej, która przedstawia przedmiot pańskiej...

— Ma się rozumieć, że znam; nie jest to pańskie nazwisko i basta!

— A skąd pan wie, jak ja się nazywam?

— Słuchaj pan, idźże już; traci pan czas: ona wy-



mknie się panu tysiąc razy... No, czegoż pan stoi? Wszak pańska chodzi w lisiem futerku i w kapuzie, a moja w płaszczu w kratki i w niebieskiej aksamitnej czapeczce... No, czegoż pan chce jeszcze więcej?

— W niebieskiej aksamitnej czapeczce! Ona ma także i płaszcz w kratki i niebieską czapeczkę — zawołał uprzykrzony człowiek, w mig zawróciwszy z drogi.

— Ach, djabli nadali! No, i to się może zdarzyć.. Zresztą, co też ja mówię? Przecie moja nie bywa tutaj!

— A gdzież ona bywa — pańska?

— Chciałby pan wszystko wiedzieć; pocóż to panu?

— Przyznam się, że ja ciągle...

— Tfu, Boże! Ależ pan wstydu nie masz żadnego. No, moja ma tu znajomych, na trzecim piętrze, od frontu. No, czegoż pan chce jeszcze, żebym nazwał tych ludzi po imieniu, czy co?

— Boże! I ja tu mam znajomych na trzecim piętrze, od frontu... Jenerał...

— Jenerał?!

— Jenerał. Powiem panu zaraz, który jenerał: no, jenerał Pałowicyn.

— Masz tu teraz! Nie, to nie ci znajomi moi! (Ach, niech to wszyscy djabli!...)

— Nie ci?

— Nie ci.

Milczeli obaj i nie rozumiejąc patrzyli wzajem na siebie.

— No czegoż pan tak na mnie patrzy? — zawołał młody człowiek, ze złością otrząsając się z odrętwy i zamyslenia.

Drugi pan poruszył się niespokojnie.

— Ja, ja, przyznam się...

— Nie, pozwól pan, pozwólże pan, teraz będziemy ze sobą mówili rozumniej. Sprawa obu nas zarówno obchodzi. Proszę mi wyjaśnić... Kogo pan tam ma?

— To jest, znajomego?

— Tak, znajomego...

— A więc widzi pan! Po oczach pańskich poznaję, że zgadłem!

— Do djaska! Ależ nie, nie u djaska! Ślepy pan jesteś, czy co takiego? Przecie stoję przed panem, przecież nie z nią jestem teraz! Nuże więc! Nuże! Zresztą, obojętne mi to, czy powie pan, czy nie!

Młody człowiek wściekły wykręcił się dwa razy na obcasie i machnął ręką.

— Ależ ja nic, ja tak sobie. Proszę mnie wysłuchać, gotów jestem wobec pana, jako wobec człowieka szlachetnego, wszyściuteńko wyznać: Zrazu żona uczęszczała tu sama. Spokrewniona jest z nimi; niczego więc nie podejrzewałem; wczoraj spotykam jego ekscelencję: powiada, że od trzech tygodni zajmuje mieszkanie gdzieindziej, a ona... to jest nie żona, tylko cudza żona (na Wozniesieńskim moście), otóż pani ta mówiła, że mieszkanie po jego ekscelencji zajął młody człowiek, nazwiskiem Bobylicyn.

— A niech to wszyscy diabli porwą!..

— Łaskawy panie, zrozumie pan, w jakim jestem strachu!

— E, do djabła! Co mnie to obchodzi, że pan jesteś w strachu? Ach! Oto tam przesunął się czyjś cień, tam oto...

— Gdzie? gdzie? Nie zapomnij tylko zawołać: Iwanie Andrzejowiczu, a zaraz przylecę...

— Dobrze, dobrze. Tam do djabła! To Iwan Andrzejowicz!!

— Jestem — zawołał Iwan Andrzejowicz, zawróciwszy zupełnie zdyszany. — No co? co? gdzie?

— Nic, nic. Ja tylko tak... chciałbym tylko wiedzieć, jak na imię tej pani?

— Głaf...

— Głafira?

— Nie, nie wiem napewno, czy Głafira... przepraszam, nie mogę panu zdradzić jej imienia.

Mówiąc to, czcigodny pan bladej był jak płótno.

— Tak, tak, oczywiście, nie Głafira, i ta się nie nazywa Głafira: zresztą, z kimże to ona idzie?

— Gdzie?

— Tam! Niech to wszyscy djabli!...

(Młody człowiek nie mógł ustać na miejscu z wściekłości).

— A widzi pan! Skąd pan wiedział, że jej na imię Głafira?

— Ostatecznie, niech to wszyscy djabli porwą! Jeszcze i pan mi tu tkwi na karku! A przecież, mówił pan, że pańska nie nazywa się Głafira?

— Łaskawy panie, cóż to za ton!

— Do stu tysięcy djabłów z tonem teraz! Żona to pańska, czy —?

— Nie, to jest, ja nie jestem żonaty... W każdym jednak razie nie posyła się do stu tysięcy djabłów w nie-szczęściu człowieka szanowanego, powiedzmy godnego szacunku, a w każdym razie dobrze wychowanego. Pan ciągle wzywa wszystkie djabły!

— No tak, djabeł pana bierz! Rozumie pan?

— Gniew pana zaślepia, więc milczę. Boże, któż to?

— Gdzie?

Rozległ się gwar i śmiech; dwie dziewczki wyszły z kamienicy; ci obydwaj rzucili się ku nim.

— A to dopiero! Co pan wyrabia?

— A pan co?

— To nie oni!

— Aha, to do innej! Dorożka!

— Dokąd panienki?

— W Pokrowską dzielnicę ; siadaj, Haniu, podwożę cię.

— Siądę z tej strony ; wio-o ! Ale prędko !

Dorożka odjechała.

— Skąd one wyszły ?

— Boże ! Boże ! Czy nie pójśćby nam na górę !

— Do kogo ?

— No, do Bobynicyna...

— E, nie, nie trzeba...

— Dlaczego ?

— Jabyem poszedł, ale ona wtedy się... wykreści ; ja ją znam ! Powie, że umyślnie przyszła po to, by mnie z kimś złapać, i wszystko na mnie zwali !

— I wiedzieć, że ona może jest tam ! Słuchaj pan — nie wiem doprawdy, dlaczego by pan nie miał pójść — do mieszkania jenerała...

— Ależ on się wyprowadził !

— Wszystko jedno, pojmuje pan ? Przecież ona do nich poszła ; no, więc pan także — pojmuje pan ? Zrobi pan taką minę, jakby pan nie wiedział o tem, że jenerał się wyprowadził, niby to przychodzi pan do niego po żonę, no, i tak dalej.

— A potem ?

— No, a potem przyłapujże pan, kto się nawinie, u Bobynicyna. Tfu, do djabła, co to za głu...

— A cóż panu do tego, że ja kogoś przyłapię ? — Widać...

— Cóż i cóż ! Łaskawco ! Cóż ? pan znowu swoje tak jak przedtem ? Ach, Boże ! Boże ! Wstydź się pan, śmieszny człowiecze, głupi człowiecze !

— Że też to pana tak zajmuje, to dziwne ? Chce się pan dowiedzieć...

— Co ! dowiedzieć ? Czegoż ? Idźże pan do djabła, nic teraz po panu ! Ja sam pójdę, ustap się pan, idź precz, pilnuj pan, lataj pan tam, no !

— Panie łaskawy, pan się zapomina! — w rozpaczny zawołał jegomość w jonatach.

— No i cóż? No i cóż, że się zapominam? — odpart młody człowiek, zacisnąwszy zęby i wściekły podszedł ku panu w jonatach. No i cóż? Przed kim to ja się zapominam?! — wrzasnął, ściskając pięści.

— Ależ panie łaskawy, za pozwoleniem...

— No, kim pan jesteś, wobec kogo to ja się zapominam? Jaka jest pańska godność?

— Nie wiem doprawdy, co to takiego, młody człowieku; na co panu mego nazwiska?... Nie mogę go wyjawić... Raczej już pójdę tam razem z panem. Chodźmy, ja się nie cofnę, że zasługuję na trochę grzeczniejsze traktowanie! Nigdy nie należy tracić równowagi ducha, i jeśli pan jesteś czemś podenerwowany, — domyślam się czem, — to w każdym, razie nie trzeba się zapominać... Pan jesteś jeszcze bardzo, bardzo młodym człowiekiem!...

— Co mi tam do tego, żeś pan stary! Nie widział nikt! Ustąp się pan precz, czego pan tu lata?

— Ja stary! Dlaczego, jaki ja stary? Chyba co się tyczy stanowiska... Ja nie latam...

— Widać, widać, Idźże pan już precz...

— Nie, już razem będziemy; pan mi nie może zakazać; ja także jestem wmieszany; ja będę z panem razem...

— No, to ciszej się pan zachowuj, cicho, milczeć!...

Obaj weszli do sieni i stąpali po schodach na trzecie piętro; było całkiem ciemno.

— Zatrzymaj się pan! Ma pan zapałki?

— Zapałki? Jakie zapałki?

— Cygara pan pali?

— A, zapałki, zapałki! mam, rozumie się, zaraz, czekajże pan...

Pan w jonatach począł szukać po kieszeniach.

— Tfu, co za... djabeł! Zdaje się te drzwi...

— Te-te-te...

— Te-te-te... wrzeszcz pan jeszcze głośniej! Cicho!

— Panie łaskawy, muszę się hamować z panem, ale ja nie jestem do czegoś podobnego przyzwyczajony... jesteś pan. beczelnym człowiekiem, doprawdy!...

Rozbłysła zapałka.

— Tak jest, oto bilet! Czytaj pan: Bobynicyń. Widzi pan: Bobynicyń?

— Widzę, widzę!

— Ci-szej! Co, zgasła?

— Zgasła.

— Trzeba zapukać?

— Pewnie, że trzeba — ozwał się pan w jonatach.

— Więc pukaj pan!

— Nie, dlaczego ja mam pukać? Niech pan zacznie, pukajże pan...

— A to tchórz!

— Pan sam jesteś tchórzem!

— Wyn-n-noś-że się pan!

— Żałuję teraz, że powierzyłem panu sekret; pan...

— Ja? No, cóż ja?

— Pan wykorzystałeś moje zdenerwowanie, spostrzegłeś pan, że jestem zdenerwowany i...

— E, plunąć na to; śmiesznie mi — i basta!

— A czegoż pan tu szuka?

— A pan czego?

— Piękna mi moralność! — rzekł z oburzeniem pan w jonatach.

— Co tu pan będzie plótł o moralności? Czego pan się czepia?

— A jednak piękne pan ma zasady moralności!

— Co znowu za zasady?

— Wedle pańskiego zdania, każdy zdradzony mąż jest durny jak but!

— Czy pan jesteś mężem? Przecie mąż na Woznie-
sieńskim moście? Czegóż pan chce? Czego pan się uczeplił?

— Ciągłe mi się zdaje, że pan sam jesteś kochankiem!...

— Słuchaj pan, jeśli pan w dalszym ciągu w ten spo-
sób będzie przemawiał, to będę musiał przyznać panu,
że pan na prawdę jest durnym butem! To jest, pan już
wie kim?

— To znaczy, chce pan powiedzieć, że ja jestem
mężem! — rzekł pan w jonatach, cofając się w tył, jak
oparzony.

— Psst! Milczeć! Słyszysz pan...

— To ona.

— Nie.

— Uf! jak ciemno!

Wszystko ucichło: w pomieszkaniu Bobynicyna dał
się słyszeć ruch.

— O cóż to nam się sprzeczać, łaskawy panie? —
szepnął pan w jonatach.

— To pan, u djabła, sam się obraził!

— Bo pan mnie doprowadził do ostateczności.

— Milcz pan teraz.

— Przyzna pan, że pan jeszcze bardzo młody....

— Milczże pan już!

— Zresztą, zgadzam się z panem co do tego, że mąż
w takim położeniu, to — but.

— Przystanie pan nareszcie mówić? O!...

— Ale, do czego to złośliwie drwić z nieszczęśliwego
męża?...

— To ona!

Ruch jednak w tej chwili ustał.

— Ona?

— Ona! Ona! Ona! Czegóż to pan jednak tak się
niepokoi? Wszak pan jesteś dla niej obcy! To nie pań-
ska rzecz!

— Panie łaskawy, panie! — mrucał pan w jonatach, blednąc i jakgdyby szlochając, — ja, wiadoma rzecz, jestem zdenerwowany... dość długo był pan już świadkiem mego poniżenia; teraz noc, pewnie, ale jutro... zresztą, my prawdopodobnie jutro się spotkamy, choć ja wcale się nie lękam spotkania z panem, i zresztą, to nie ja, to przyjaciel mój, ten z Wozniesieńskiego mostu; naprawdę, on! To jego żona, to cudza żona! Nieszczęśliwy to człowiek! Zapewniam pana. Jest to mój stary znajomy; pozwól pan, że panu wszystko opowiem. Przyjacielem jego jestem, jak pan to zresztą sam łącno poznał, bo inaczej cóżby mnie obchodził los jego? Mówiłem mu nieraz: poco ty się żenisz, kochany przyjacielu? Posiadasz ładne stanowisko, majątek, ludzie cię szanują, a chcesz to wszystko zamienić za kaprysy jednej kokietki? Nie, powiada, ożenię się: chcę zaznać szczęścia rodzinnego... Ma więc teraz szczęście rodzinne! Przedtem sam zdradzał mężów, a teraz sam pić kielich goryczy musi... Pan daruje, ale to wyjaśnienie konieczne było! Nieszczęsny to człowiek... sam pije kielich goryczy — oto wszystko!

Tu panu w jonatach głos odmówił posłuszeństwa, jakgdyby był on naprawdę bliski płaczu.

— A niech ich wszystkich diabli porwą! Czy to mało jest durniów na świecie! A pan sam co za jeden?

Młody człowiek zgrzytał zębami ze złości.

— No, po tem wszystkiem jeszcze taki ton z pańskiej strony, to już, przyzna pan... Byłem z panem całkiem szczery i otwarty...

— Nie, przepraszam pana... nazwisko pańskie?

— Poco panu mego nazwiska?

— A!!

— Nie mogę go wymienić!

— Zna pan Szabrina? — szybko wypalił młody człowiek.

— Szabrin!!!

— Tak, Szabrin! A!!! (W tem miejscu pan w płaszczu trochę przedrzeźnił pana w jonatach). Pojmuje pan już teraz?

— Nie, co za Szabrin! — odpowiedział osłupiały pan w jonatach. — Wcale nie Szabrin; to jest człek szanowny! Tłumaczę sobie pańską niegrzeczność zazdrością z pańskiej strony.

— To łajdak, sprzedawczyk, kubaniarz, błazen, okradł kasę! Wnet on się za kratkami znajdzie!

— Przepraszam pana, — rzekł pan w jonatach, błądy — pan go chyba nie zna; wcale go pan, jak widzę, nie zna.

— Osobiście, pewnie, nie mam przyjemności, skądinąd jednak znam go bardzo dokładnie.

— Łaskawy panie, skądże to pan go zna? Jestem zdenerwowany, jak pan uważa...

— Głupiec! Zazdrośnik! Nie potrafi sobie żony przypilnować i basta, jeśli pan chce wiedzieć!

— Pan wybaczy, ale pan się grubo myli, młody panie...

— Ach!

— Ach!

W mieszkaniu Bobrynicyna rozległ się gwar. Otwierano drzwi. Słychać było głosy.

— Ach, to nie ona, nie ona! Poznają ją po głosie; teraz wszystko poznałem, to nie jest ona! — rzekł pan w jonatach, blednąc jak płótno.

— Milcz pan!

Młody człowiek przywarł do ściany.

— Panie łaskawy, ja odchodzę; to nie ona, bardzo się z tego cieszę.

— No, no! Lećże pan, lećże!

— A czego pan jeszcze stoi?

— A pan czego?

Drzwi się otworzyły i pan w jonatach, nie dotrzymując placu, potoczył się w dół po schodach na złamanie karku.

Obok młodego człowieka przeszła para: mężczyzna i kobieta, i serce w nim zamarło... Usłyszał znany głos kobiety a potem suchy głos męski, całkiem obcy.

— Nic nie szkodzi, ja zawałam sanki — mówił głos suchy.

— Ach, to dobrze! No, wołajże...

— O, tam stoją, zaraz je przyprowadzę.

Kobieta pozostała na chwilę sama.

— Głafiro! gdzie twoje przysięgi? — zawołał młody człowiek w płaszczu, chwytając ją za rękę.

— Aj, kto to? To pan Twarogow? Boże! co pan tu robi?

— Z kim pani tu była?

— To jest mój mąż; odejdz pan, odejdz, on zaraz wróci... Od Pałowicynów idziemy; odejdzcie, na miłość Boską!

— Pałowicyn od trzech tygodni tu już nie mieszka! Wiem wszystko!

— Aj! — Niewiasta pobiegła ku wyjściu, młody człowiek dopędził ją jednak.

— Kto panu to powiedział?

— Mąż, łaskawa pani, Iwan Andrzejowicz; on tu jest także, oto stoi przed panią, dobrodziejko...

Iwan Andrzejowicz istotnie stał w bramie przy wyjściu.

— Aj, to pan? — zawołał jegomość w jonatach.

— A! c'est vous? — zawołała Głafira Piotrówna, rzucając się ku niemu z niekłamaną radością. — Boże! Co mi się stało? Byłam u Pałowicynów; i wyobraż sobie... wiesz, oni teraz mieszkają w okolicy Izmajłowskiego mostu; mówiłam ci o tem, pamiętasz? Wzięłam

stamtąd sanki. Konie się spłoszyły, sanki poniosły, rozbiły, a ja sama runęłam jak długa tutaj, o sto kroków stąd; woźnicę pokaleczonego zabrano gdzieś; ja po prostu odchodziłam od zmysłów. Na szczęście pan Twarogow...

— Jak?

Pan Twarogow podobny był raczej do skamieniałości niż do pana Twarogowa.

— Pan Twarogow zobaczył mnie w tem położeniu i po rycersku podjął się towarzyszyć mi, no, ale skoro ty nadszedłeś, więc mogę już tylko gorąco podziękować panu, Iwanie Iliczu...

Niewiasta podała rękę osłupiałemu Iwanowi Iliczowi i raczej zdusiła, niż uściśnęła mu dłoń.

— Pan Twarogow! znajomy mój; na balu u Szkarupowych mieliśmy przyjemność poznać się; zdaje się, wspominałam ci o tem? Czyżbyś nie pamiętał, Koko?

— Ach, prawda, prawda; Ależ pamiętam, naturalnie! — przemówił pan w jonatach, którego nazwano Koko. — Bardzo, bardzo mi przyjemnie. —

I gorąco uściśnął rękę panu Twarogowowi.

— Z kimże to...? Co to ma znaczyć? Ja czekam... — rozległ się suchy głos.

Przed grupą trojga stał osobnik niezmiernego wzrostu, wyjął monokl i bacznie popatrzył na pana w jonatowem futrze.

— Ach, m-r Bobynicyń! — zaszcebiotała niewiasta, — skądże to? A to spotkanie! Pomyśl pan sobie, właśnie przed chwilą konie wywróciły sanki ze mną... ale, ale, oto jest mój mąż! Jean! M-r Bobynicyń, na balu u Karpowów...

— Ach, bardzo mi przyjemnie!... Ale ja w mig będę tu ze sankami, żoneczko!

— Pójdź, Jasiu, pójdź po sanki; cała jestem przera-

żona; drzę z przestachu; nawet słabo mi się robi... (Dzisiaj na balu maskowym... — szepnęła Twarogowowi...) Żegnam, żegnam pana, panie Bobynicyń! Zapewne spotkamy się jutro na balu u Karpowów...

— Nie, wybacz pani, ja jutro nie będę; ja już nie będę mógł służyć, skoro dziś tak się złożyło...

Pan Bobynicyń mruknął coś jeszcze przez zęby, szurnął butami, siadł w swe sanki i odjechał.

Podjechała karetka: niewiasta wsiadła w nią. Pan w jonatach został; widać, nie mógł zrobić żadnego ruchu ani w tył, ani wprzód i bezmyślnie patrzył na pana w płaszczu. Ten uśmiechał się dość głupio,

— Ja nie wiem...

— Pan pozwoli, bardzo się cieszę, żeśmy się zaznajomili osobiście, — odpowiedział młody człowiek, kłaniając się z zaciekawieniem i trochę się czerwieniąc.

— Ja również, ja również...

— Zdaje mi się, żeś pan kalosz zgubił...

— Ja? Ach, tak! Dziękuję, bardzo dziękuję; zawsze postanawiam sobie kupić nowe, z prawdziwej gumy...

— W kaloszach nogi się pocą, słyszałem, że to niezdrowo — rzekł młody człowiek z widoczną bezgraniczną troskliwością.

— Jean! Chodźże prędzej!

— To prawda, pocą się. Zaraz, zaraz, najdroższa, właśnie rozmawiamy o bardzo interesujących rzeczach! Prawda święta, pocą się nogi w kaloszach, słusznie pan zauważył... Ostatecznie, przepraszam bardzo, że muszę...

— Proszę, bardzo proszę się nie krępować.

— Jakże się cieszę, żeśmy się zaznajomili...

Pan w jonatach wsiadł do karety, która ruszyła z miejsca; młody człowiek ciągle jeszcze stał na temsamem miejscu i zdziwiony patrzył w ślad za nią.

II

Na drugi dzień wieczorem odbywało się przedstawienie we „Włoskiej Operze“. Iwan Andrzejewicz wleciał do sali jak bomba. Nigdy jeszcze nie wrzał taką „pasją“, taką namiętnością do muzyki. Co najwyżej, wiadomo było pozytywnie, że lubił nadzwyczaj przedzierać się z godzinkę lub dwie we „Włoskiej Operze“: kilkakrotnie opowiadał nawet, że to wcale przyjemnie i rozkosznie: „a primadonna“ — mawiał do przyjaciół — „miauczy ci, jak białuśka koteczka, kołysankę“. Lecz tak mówił on jeszcze w ubiegłym sezonie; a teraz, — ach! — Iwan Andrzejewicz nawet i w domu nie sypia po nocach. A przecie, wpadł mimo to, jak bomba, do sali, wypełnionej po brzegi. Nawet portjer teatralny popatrzył na niego jakoś podejrzliwie, a zwłaszcza spojrzął z pod oka na jego boczną kieszeń, z pewnością w tej nadziei, że zobaczy tam rączkę ukrytego na każdy wypadek sztyletu. Należy zauważyć, że w owym czasie kwitły dwa stronnictwa, z których każde wysoko trzymało sztandar swojej primadonny; członkowie jednego stronnictwa nazywali się „*—-zyści“, a drugiego „*—-niści“. Oba stronnictwa do tego stopnia kochały muzykę, że słudzy teatralni w końcu stanowczo poczęli się obawiać jakiegoś bardziej zdecydowanego objawu miłości ku wszelakiemu pięknu i wzniosłości, ucieleśnionym w dwu primadonnach. Oto dlaczego, patrząc na młodzieńcze wtargnięcie do sali teatralnej nawet siwowłosego starca, choć zresztą niecałkiem siwowłosego, a liczącego tak około lat pięćdziesięciu, łysawego, i wogóle człowieka na pierwsze wejrzenie solidnych zalet, portjer teatralny mimowoli przypomniał sobie szczytne słowa Hamleta, księcia duńskiego:

„A jeśli starość tak strasznie upadła.
Cóż młodość?...“ i t d.

i jak już wyżej powiedzieliśmy, spojrzął z pod oka na boczną kieszeń fraka, spodziewając się dostrzec sztylet. Tam jednak był tylko portfel i nic więcej.

Wleciawszy do teatru Iwan Andrzejowicz momentalnie przebiegł oczami wszystkie loże drugiego piętra i — o zgrozo! Serce jego zamarło: ona tu była! Siedziała w loży. Był tu generał Pałowicyn z żoną i kuzynką; był tu i adjutant generała — nadzwyczaj przystojny, młody człowiek; był tu jeszcze pewien pan cywilny. Iwan Andrzejowicz wyteżył całą uwagę, całą bystrość wzroku lecz — o zgrozo! Pan cywilny zdradziecko cofnął się poza adjutanta i ukrył się we mgle niewiadomego.

Tu więc była ona, tymczasem mówiła, że będzie w każdym razie nie tutaj! Ta dwujęzyczność, ta dwuznaczność przejawiająca się od jakiegoś czasu na każdym kroku u Głafiry Piotrówny, naprawdę zabijało Iwana Andrzejowicza. A ten cywilny młodzieniec wtrącił go wkońcu w zupełną rozpacz. Opadł on na krzesło zupełnie zdruzgotany. Jakież był powód do tego? Rzecz zupełnie prosta...

Zauważyć należy, że fotel Iwana Andrzejowicza znajdował się tuż obok łóż parterowych, a w dodatku zdradziecka loża drugiego piętra znajdowała się prosto nad jego fotelem, tak, że on, ku największej swojej nieprzyjemności, stanowczo nie mógł obserwować, co się działo nad jego głową. Z tego też powodu złościł się i gorączkował jak samowar. Cały pierwszy akt minął dla niego niespostrzeżenie, to jest, nie słyszał ani jednej nuty. Powiadają, że muzyka tem właśnie jest piękna, że wrażenie muzyczne można zestroić z wszelakiem uczuciem. Człek wesoły znajdzie w tonach radość, melancholik — smutek; w uszach Iwana Andrzejowicza wyła cała burza. Na domiar przykrości, z tyłu, z przodu, z boku krzyczały tak straszliwe głosy, że serce Iwana Andrzejowicza wprost rwało się w kawały. Wreszcie akt się skończył. Ale w tej

chwili, gdy zapadała kurtyna, z naszym bohaterem zdarzyło się coś takiego, czego żadne pióro nie opisze.

Zdarza się, że czasami z górnych pięter spada afisz. Gdy sztuka jest nudna i widzowie poziewają, to dla nich jest to całym zdarzeniem. Zwłaszcza uważnie patrzą na lot tej miękiej bibułki z najwyższego piętra i znajdują w tem przyjemność, że śledzą jej podróż w zygzakach aż do samych foteli, gdzie ona niechybnie ułoży się na czyjaś, w każdym razie nieprzygotowaną do tego wypadku głowę. Lecz z Iwanem Andrzejowiczem zaszło zdarzenie dotychczas nigdzie jeszcze nie opisane. Zleciał mu na głowę, jak powiedziano wyżej, dość łysą — nie afisz. Wyznaję, że jest mi nawet nieprzyjemnie powiedzieć, co mu zleciało na głowę, dlatego, bo istotnie jakoś przykro jest wyjawić, że na czcigodną i obnażoną, tj. częściowo pozbawioną włosów głowę zazdrosnego, rozdrażnionego Iwana Andrzejowicza spadł taki niemoralny przedmiot, jak np. zduszona miłosna karteczka. W każdym razie biedny Iwan Andrzejowicz zupełnie nieprzygotowany do tego nieprzewidzianego i potwornego wypadku, zadrżał tak, jak gdyby schwytał na swojej głowie mysz lub jakiegoś innego dzikiego zwierza.

Karteczka była treści miłosnej — to nie ulegało najmniejszej wątpliwości. Była ona napisana na zmiętym papierku, zupełnie taksamo, jak pisze się podobne zapiski w romansach, i złożona w zdradziecko mały format, tak, że można ją było ukryć pod damską rękawiczką. Spadła zaś, prawdopodobnie przypadkowo, w chwili samego podawania jej ukradkiem: zapewne poproszono, naprzykład, o afisz, i już karteczkę tę z zapiskiem treści miłosnej, przemyślnie zawinięto w ten afisz, już podawano ją we wiadome ręce, lecz jeden moment, być może niespodziane szturknięcie adjutanta, który następnie nadzwyczaj zgrabnie usprawiedliwił się ze swej niezgrabności, i oto karteczka

ta wysliznęła się z maleńkiej, drżącej ze zmieszania rączki, a cywilny pan, który już wyciągnął był niecierpliwą rękę, otrzymuje oto, zamiast karteczki z zapisem, sam afisz, z którym stanowczo nie wie, co ma począć.

Nieprzyjemny, dziwny wypadek, co prawda, lecz każdy się musi zgodzić z nami, że Iwanowi Andrzejowiczowi było jeszcze nieprzyjemniej.

— Przeznaczenie! — wyszeptał, zalewając się zimnym potem i mnąc karteczkę w zaciśniętej dłoni — przeznaczenie! Kula moja znajdzie winowajcę — mignęło mu przez głowę — nie, nie w ten sposób! Cóż ja jestem temu winien, by samemu karku nadstawiać? Jest przecie przysłowie: Kto ma pecha, mieć go będzie do końca...

Jakież to myśli cisną się do głowy, jeśli ktoś ma podobny kłopot i wypadek. Iwan Andrzejowicz siedział na fotelu zdrętwiały, jak powiadają, ni żywy ni umarły. Był przekonany, że ten jego wypadek wszyscy zauważyli, nie bacząc na to, że w całej sali w tym czasie zaczął się ruch, towarzyszący wywoływaniu śpiewaczki. Siedział tak skonfundowany, czerwony cały i nie śmiejąc podnieść oczu, jak gdyby spotkała go nagła nieprzyjemność, jakiś dysonans w dobrem, zbiorowem towarzystwie. Wkońcu postanowił podnieść oczy!

— Jak przyjemnie śpiewali! — rzekł do pewnego franta, który siedział obok, po lewej ręce.

Frant zachwycony w najwyższym stopniu i zawzięcie bijący brawo, podnoszący się przytem co chwila z krzesła, pobieżnie w roztargnieniu popatrzył na Iwana Andrzejowicza i równocześnie przyłożył do swych ust złożone w trąbkę dłonie, by go lepiej było słyszać, krzycząc nazwisko śpiewaczki. Iwan Andrzejowicz, który nigdy jeszcze nie słyszał podobnie tubalnego głosu, był zachwycony. „Niczego nie zauważył!“ — pomyślał i odwrócił się w tył. Ale gruby jegomość, który siedział w tyle za nim, teraz

ze swojej strony odwrócił się do niego tyłem i lornetował łoże. „Ten także nic nie widział! — pomyślał Iwan Andrzejowicz. Na przedzie naturalnie niczego nie zauważono. Nieśmiało i z pełną otuchy nadzieją spojrział on na bok ku balustradzie łoży parterowej, obok której znajdował się jego fotel i zadrżał, pełen bardzo nieprzyjemnego uczucia. Siedziała tam piękna dama, która zasłoniwszy usta chusteczką i padłszy na poręcz krzesła, chichotała jak szalona.

— Och te kobiety! — wyszeptał Iwan Andrzejowicz i puścił się ku wyjściu, następując widzom na nogi.

Proponuję teraz samym czytelnikom rozstrzygnąć i proszę, by sami rozsądzili pomiędzy mną a Iwanem Andrzejowiczem. Czy miał on rację w tej chwili? Wielki teatr, jak wiadomo, zawiera w sobie cztery piętra łoż i piąte piętro — galerję. Dlaczego koniecznie przypuszczać, że karteczka upadła właśnie z jednej łoży i to właśnie z tej samej, a nie z którejkolwiek innej — naprzykład chociażby z piątego piętra, gdzie także siadają panie? Lecz namiętność jest zjawiskiem wyjątkowem, a zazdrość — to namiętność najbardziej wyjątkowa w świecie.

Iwan Andrzejowicz rzucił się do foyer, stanął pod lampą, złamał pieczęć i przeczytał:

„Dziś zaraz po przedstawieniu, przy ulicy N-tej, róg przecznicy X-tej, w domu K, na trzecim piętrze na prawo od schodów. Wejście przez tylną bramę. Bądź tam, sans faute; zaklinam na Boga!“

Charakteru pisma Iwan Andrzejowicz nie ustalił, lecz nie było wątpliwości, że było to oznaczenie schadzki. „Złapać, schwytać i przeciąć zło w samym zarodku“, było pierwszą ideą Iwana Andrzejowicza. Przyszło mu także do głowy zdemaskować wszystko zaraz tu na miejscu; jak to jednak zrobić? Iwan Andrzejowicz poleciał nawet na drugie piętro, ale roztropnie wrócił. Napewno

to on sam nie wiedział, dokąd leci. Z bezradności zabiegł ze strony przeciwnej i popatrzył przez otwarte drzwi cudzej łoży na drugą stronę. Tak, tak! We wszystkich pięciu piętrach w kierunku pionowym siedziały młode niewiasty i młodzi panowie. Karteczka mogła upaść ze wszystkich pięciu pięter razem, dlatego, bo Iwan Andrzejowicz podejrywał stanowczo wszystkie piętra o spisek przeciwko sobie. I nie bacząc na wszystkie inne możliwości, trwał przy swoim najpierwszem przekonaniu. Podczas całego drugiego aktu biegał po wszystkich kurytarzach i nigdzie nie znalazł spokoju ducha. Pobiegł nawet do kasy teatralnej w tej nadziei, że od kasjera dowie się nazwisk osób, które wzięły łoże we wszystkich czterech piętrach, lecz kasa była już zamknięta. Wkońcu rozległy się burzliwe wywoływania i brawa. Przedstawienie się skończyło. Krzyki trwały, a zwłaszcza grzmiąły z samej góry dwa głosy — prowadyrów obu stronnictw. To jednak nie obchodziło Iwana Andrzejowicza. Jemu mignęła już myśl dalszego postępowania. Ubrał się w płaszcz i puścił się w kierunku ulicy N-tej, by tam zastać, złapać, zdemaskować i wogóle postąpić nieco energiczniej niż wczoraj. Prędko odszukał dom oznaczony i już wszedł w tylną bramę, gdy wtem literalnie tuż pod jego rękami przemknęła postać franta w palto-cie, wyprzedziła go i puściła się po schodach na trzecie piętro. Iwanowi Andrzejowiczowi zdawało się, że jest to ten sam frant, chociaż nie mógł on i wtedy rozróżnić i zapamiętać sobie jego twarzy. Serce w nim zamarło. Frant wyprzedził go już o dwa skręty schodów. Wkońcu usłyszał, jak otwarły się drzwi na trzeciem piętrze, a otwarły się bez dzwonienia, jak gdyby oczekiwano przybysza. Młody człowiek zniknął w mieszkaniu. Iwan Andrzejowicz dopadł trzeciego piętra, gdy jeszcze nie zdołano zamknąć drzwi. Chciał postać przed drzwiami,

rozsądnie obmyśleć każdy krok, wszystko rozważyć, a potem dopiero zdecydować się na coś stanowczego: ale w tej samej chwili zaturkotał u bramy powóz, brama otworzyła się z trzaskiem i czyjeś ciężkie nogi poczęły, przy równoczesnem stękanii i kaszłaniu idącego, wchodzić na górne piętra. Iwan Andrzejowicz nie ustał na miejscu, otworzył drzwi i znalazł się w mieszkaniu, z całym swem namaszczeniem obrażonego męża. Naprzeciw wybiegła pokojówka, cała zmięszana, potem zjawił się lokaj; ale zatrzymać Iwana Andrzejowicza nikoby nie potrafił. Jak bomba wpadł do pokoju i przeszedłszy dwa ciemne salony, stanął wreszcie w sypialni przed młodą, bardzo przystojną niewiastą, która trzęsła się cała ze strachu i patrzyła na niego z prawdziwym lękiem, jak gdyby nie pojmując, co się wkoło niej dzieje. W tej chwili dały się słyszeć ciężkie kroki w sąsiednim pokoju, które zdążyły prosto do sypialni: były to te same kroki, które przedtem wdrapywały się na schody.

— Boże! To mój mąż! — zawołała niewiasta, uderwszy w dłonie i pobladłszy bardziej od swego peniuaru.

Iwan Andrzejowicz uczuł, że wpadł fałszywie, że postąpił głupio, po dziecinnemu, że nie przemyślał należyście swego kroku, nie wyczekał na schodach stosownej chwili. Teraz jednak nic już począć nie było można. Oto otworzyły się drzwi, już też ciężki mąż, o ile można było sądzić tylko po jego ciężkich krokach, wchodził do pokoju... Nie wiem, za kogo uważał siebie Iwan Andrzejowicz w tej chwili! Nie wiem, co mu przeszkadzało wyjść poprostu na spotkanie męża, oświadczyć mu, że znalazł się tutaj przypadkowo, wytłómaczyć się, że nieświadomie postąpił w sposób nieprzyzwoity, przeprosić i pójść sobie — co prawdą nie bardzo z honorem, co prawdą nie okryty sławą, ale ostatecznie pójść sobie w sposób otwarty i szlachetny. Lecz nie, Iwan Andrzejowicz znowu

postąpił jak smarkacz, jak gdyby uważał siebie za donżuana lub lowelasa! Z początku schował się za kotarą u łóżka, a potem, gdy poczuł zupełny upadek ducha, opadł na kolana i bezmyślnie wlaź pod łóżko. Strach podziałał na niego mocniej od roztropności i Iwan Andrzejowicz, sam obrażony mąż albo uważający siebie za takiego, nie zniósł spotkania z drugim mężem, być może, bojąc się obrazić go swoją obecnością. Tak czy owak, znalazł się on jednak pod łóżkiem, stanowczo nie pojmując, jak to się stało. Ale co dziwniejsza, niewiasta nie okazała najmniejszej opozycji. Wcale nawet nie krzyknęła, widząc, jak bardzo dziwny pan w podeszłym wieku szuka schronienia w jej sypialni. Stanowczo była tak przestraszona, że wedle wszelkiego prawdopodobieństwa straciła mowę.

Mąż wszedł, stękając i chrząkając, przywitał się z żoną pocałunkiem w czoło, zwyczajem starszych ludzi, i zwałił się na krzesło tak, jakgdyby co tylko przyniósł naręcz drew. Rozległ się głuchy i uporczywy kaszel. Iwan Andrzejowicz, który z rozżartego tygrysa przeistoczył się w jagnię, spokorniawszy i przyczaiwszy się, jak mysz przed kotem, ledwie śmiał oddychać ze strachu, chociaż mógł wiedzieć z własnego doświadczenia, że nie wszyscy obrażeni mężowie zaraz kęsają. To jednak nie przyszło mu na myśl albo z powodu braku logicznego zmysłu, albo jakiegoś innego braku. Ostrożnie, cichutko, poomacku zaczął poprawiać się pod łóżkiem, by ułożyć się jakoś wygodniej. Jakież było jego zdumienie, gdy namacał ręką przedmiot, który ku jego najwyższemu zdumieniu, poruszył się i ze swojej strony ścisnął go za rękę. Pod łóżkiem był człowiek drugi.

— Kto to? szepnął Iwan Andrzejowicz.

— No, powiedziałem już przecież panu! — wyszeptał

dziwny nieznajomy. — Leż pan i milcz, skoroś pan wpadł, jak piłat w credo!

— Cóż to za ton!..

— Milcz pan!

I zbyteczny człowiek (dlatego, bo pod łóżkiem dość było i jednego), zbyteczny ten człowiek ścisnął w swoim kułaku rękę Iwana Andrzejowicza tak, że ten mało nie krzyknął z bólu.

— Łaskawy panie...

— Pst!

— Nie ściskaj pan tak mojej ręki, bo krzyknę.

— No to krzycz pan! Spróbuj!

Iwan Andrzejowicz poczerwieniał ze wstydu. Nieznajomy był widocznie człowiekiem srogim i pochopnym do gniewu. Być może, że był to człowiek, który nieraz zaznał podobnych prześladowań losu i nieraz już znajdował się w takim położeniu bez wyjścia; lecz Iwan Andrzejowicz był nowicjuszem i dusił się z ciasnoty. Krew biła mu do głowy. Nic jednak na to nie można było poradzić, trzeba było leżeć jak trusia. Iwan Andrzejowicz ukorzył się i zamilkł.

— Ja, duszyczko, byłem — zaczął mąż — ja, duszyczko, byłem u Pawła. Usiedliśmy do preferansa, lecz tak, kchy — kchy — kchy! (zakaszła się) tak... kchy! Tak plecy... kchy! Noce... Kchy — kchy — kchy!

I staruszek pogrążył się w swoim kaszlu.

— Plecy... — rzekł on wkońcu ze łzami w oczach, — plecy mię rozboleły... przekłętę hemoroidy. Ani stać, ani siedzieć... ani siedzieć! A kchy — kchy — kchy!...

I zdawało się, że temu paroksyzmowi kaszlu przeznaczone było życie o wiele dłuższe jak staruszkowi, właścicielowi tego kaszlu. Stary coś mamrotał językiem w chwilowych odstępach, ale stanowczo niczego nie można było zrozumieć.

— Łaskawy panie, na miłość Boską, posuń się pan trochę! wyszeptał nieszczęśliwy Iwan Andrzejowicz.

— Którędy się posunę? Niema miejsca.

— Ależ, przyzna pan, to niemożliwe. A do tego ja po raz pierwszy znajduję się w takim wstrętnym położeniu.

— A ja w takim nieprzyjemnym sąsiedztwie.

— Ależ młody człowieku...

— Stul pan dziób!

— Stulić? Ależ pan postępuje ze mną całkiem nieuczciwie, młody człowieku... jeśli się nie mylę, jesteś pan jeszcze bardzo młody; ja jestem starszy od pana.

— Milczeć!

— Łaskawy panie! Pan się zapomina; pan nie wie, z kim pan mówi!

— Z panem, który leży pod łóżkiem...

— Ale mnie sprowadził przypadek... omyłka, a pana, jeśli się nie mylę, dziwne zapatrywania na moralność.

— Co do tego, to pan się właśnie myli.

— Mój panie, jestem trochę starszy od pana i powiadam panu...

— Mój panie, wie pan przecie, że my obaj znajdujemy się tu na jednej desce. Proszę pana, nie czepiajże się pan mojej twarzy!

— Mój panie, ja nic się nie wyznaję. Wybacz pan, ale niema miejsca.

— Czemuż pan taki gruby?

— Boże! Ja nigdy jeszcze nie byłem w takim ponizającym położeniu!

— Tak, tak. Niżej leżeć nie można.

— Panie, panie! Ja nie wiem, kim pan jesteś, nie pojmuję, jak się to stało, ja jednak znalazłem się tu tylko przez omyłkę; wcale nie jestem tym, za kogo pan mnie ma...

— Ja zupełnie nic nie myślałbym o panu, jeśli bym mnie pan nie szturkał. Proszę milczeć.

— Łaskawy panie! Jeśli pan się nie posunie, to mnie apopleksja trafi. Będiesz pan odpowiadał za moją śmierć. Zapewniam pana... Jestem powszechnie szanowanym obywatel, ojcem rodziny. Ja absolutnie nie mogę być w takim położeniu.

— Sam się pan przecie wpakował w to położenie. No, suńże się pan! Ma pan miejsce; więcej go niema.

— Szlachetny, młody człowieku! Łaskawco mój! widzę, że omyliłem się co do pana! — rzekł Iwan Andrzejewicz w porywie wdzięczności za ustąpione sobie miejsce i rozprostowując zacierpłe członki. — Rozumiem pańskie przykre położenie, aleco robić? Widzę, że pan jakoś niemądrze o mnie myśli, pozwólże pan poprawić mi swoją reputację w pańskim mniemaniu, pozwól mi pan wyjaśnić, kim jestem. Przyszedłem tutaj przeciwko własnej woli, zapewniam pana; jam nie po to przyszedł, co się panu zdaje... Jestem w okropnym strachu.

— Będzie pan nareszcie milczał? Rozumie pan, że jeśli nas usłyszysz, będzie źle? Pst!... On mówi.

Istotnie kaszel staruszka widocznie zaczął mijać.

— Tak więc, duszyczko — chrypiał płacziwym tonem, — tak to, duszyczko, kchy — kchy! Ach, nieszczęście! Teodozy, brat Pawła, powiada: wybyście spróbowali pić herbatę z płucnika; słyszysz, duszyczko?

— Słyszę, mój gołąbeczku.

— No, więc powiada: wybyście spróbowali tę herbatę pić. A ja powiadam: stawiałem pijawki. A on mi na to: nie, Aleksandrze Damianowiczu, płucnik to rzecz o wiele lepsza, on odflegmia, radzę panu... Kchy — kchy kchy! Och mój Boże! Jakże ty myślisz, duszyczko, kchy — kchy! Ach, Jezusie Zbawicielu, kchy — kchy! Więc co lepsze? Płucnik czy — kchy — kchy — kchy! Ach! Kchy!

— Ja myślę, że spróbować tego środka nie zaszkodzi, odpowiedziała żona.

— Nie zaszkodzi, pewnie! Macie, powiada, suchoty — kchy — kchy! A ja mówię: podagra i katar żołądka; kchy — kchy! A on mi na to: być może, że i suchoty. Jak ty — kchy — kchy! — Jak ty myślisz, duszyczko: czy ja mam suchoty?

— Ach, Boże mój, co ty mówisz takiego?

— Tak, suchoty! Ty duszyczko rozbieraj się już i kładź się spać, kchy — kchy! Ależ to ja mam dzisiaj, kchy! katar.

— Uf! westchnął Iwan Andrzejowicz, — na miłość Boską, posuń się pan jeszcze trochę.

— Stanowczo dziwię się panu, co się z panem dzieje; nie może pan leżeć spokojnie?...

— Jesteś pan zbyt srogi dla mnie, młody człowieku; chce mnie pan zadreżyć. Ja to widzę. Pan, prawdopodobnie, jest kochankiem tej damy?

— Milczeć!

— Nie będę milczał, nie pozwolę panu dowodzić! A pan z pewnością kochanek? Jeśli on nas odkryje, to ja nic nie jestem winien, ja nic nie wiem.

— Jeśli pan nie przestanie mówić, — rzekł młody człowiek, zgrzytając zębami, — to ja powiem, że to pan mnie tutaj przyprowadził i zwabił; powiem, że pan jesteś moim wujem, który przeputał cały swój majątek. Wtedy w każdym razie nikt nie pomyśli, że to ja jestem kochankiem tej niewiasty.

— Panie, pan się znęcasz nademną, pan potęgujesz moje cierpienia.

— Pst! Cicho, albo ja pana zmuszę do milczenia! Jakieś nieszczęście z panem, no powiedz mi pan, pociąg pan tu przyłazł? Bez pana to jabyłem jakoś przeleżał tutaj do rana, a potem poszedłbym sobie.

— Ale ja przecież nie mogę leżeć tutaj do samego rana. Jestem człowiekiem statecznym; posiadam rodzinę, obowiązki... jak pan myśli, czy on będzie tutaj nocował?

— Kto?

— No, ten starzec...

— Rozumie się, że będzie. Nie wszyscy przecież są takimi mężami, jak pan. Niektórzy mają zwyczaj nocowania w domu.

— Ależ panie, panie! zawołał Iwan Andrzejowicz i zmartwiał ze strachu, — zapewniam pana, że i ja także w domu nocuję, a teraz to po raz pierwszy mi się zdarzyło; ale, mój Boże, ja widzę, że pan mnie znasz. Kim pan jesteś, młody panie? Proszę mi natychmiast powiedzieć, błagam pana z bezinteresownej przyjaźni, kim pan jesteś?

— Słuchaj pan! Użyję gwałtu...

— Ależ pozwól pan, pozwól powiedzieć sobie, pozwól mi pan wyjaśnić całe to brzydkie zajście...

— Żadnych wyjaśnień nie słucham. Nic nie chcę wiedzieć. Proszę milczeć, lub też...

— Ależ ja nie mogę...

Pod łóżkiem nastąpiła lekka walka i Iwan Andrzejowicz zamilkł.

— Duszyczko, co też to tutaj, jakoby koty się tłukły?

— Co za koty? — Co ty wymyślasz?

Rozumie się, że pani żona nie wiedziała, o czym rozmawiać ze swoim mężem. Była tak przerażona, że jeszcze nie mogła się opamiętać. Teraz zaś drgnęła i nadstawiła uszu.

— Co za koty? Jakie koty?

— Koty, duszyczko. Kiedyś tutaj przychodzę, siedzi mićka u mnie w gabinecie, mru-mru-mru, i szepce. Ja do niej: cóż ty, micusiu? a ona znowu mru-mru-mru i tak, jakoby zawsze szepce. A ja sobie myślę: Ach, ojcowie

wy moi! Czy nie o śmierci to ona mojej tak mruczy i naszeptuje?

— Co za niedorzeczności pleciesz dzisiaj, gołąbeczku. Wstydz się ,doprawdy.

— No, nic, nic; nie gniewaj się duszyczko, nieprzyjemnie ci, widzę, że ja umrę. Ale nie gniewaj się, ja tylko tak mówię. Ot, duszyczko, rozbieraj się i kładź się spać. A jabym tu trochę posiedział, aż ty się położysz.

— Boże drogi! przestańże tak mówić! Później...

— No, nie gniewaj się, nie gniewaj się już! Tylko, naprawdę tu coś, niby myszy piszcza.

— Coś nowego! raz koty, to znów myszy, doprawdy, nie wiem, co się z tobą dzieje?

— No, ja nic, przecie ja nic, kchy! ach, Bpże mój! Kchy-kchy-kchy!

— Słyszysz pan? Tak się pan wierci, że on już nas usłyszał! — szepnął młody człowiek.

— Jeśliby pan widział, co się ze mną dzieje. Krew mi się z nosa puściła.

— Niech się puszcza, a pan milcz: zaczekaj pan, aż on się wyniesie.

— Młody człowieku, ale wstaw się pan w moje położenie: przecie ja nie wiem, z kim ja leżę.

— Czy panu będzie lżej od tego, czy co, gdy się pan dowie? przecież mnie to nie obchodzi, jak pan się nazywa. No jak się pan nazywa?

— Nie, poco nazwisk, chcę tylko wyjaśnić panu, w jaki głupi sposób...

— Psst!... On znowu mówi...

— Doprawdy, duszyczko, że ktoś szepce.

— Ależ nie! To wata wysuwa się w twych uszach.

— Ach, co do tej waty! Wiesz ty, tu na górze... kchy-kchy! na górze, kchy-kchy-kchy! itd.

— Na górze! — wyszeptał młody człowiek. — Tam do djabła! A ja myślałem, że to ostatnie piętro. Byłoby to drugie?

— Młody człowieku — wyszeptał, drgnąwszy Iwan Andrzejowicz — co pan mówi? Na Boga, czemu to pana tak zajmuje? Ja także myślałem, że to ostatnie piętro. Na Boga żywego, byłoby tu jeszcze jedno piętro?

— Naprawdę, tu ktoś się rusza — rzekł starzec, który wkońcu przestał kaszleć.

— Psst! Słyszysz pan? — szepnął młody człowiek, ścisnąwszy obie ręce Iwana Andrzejowicza?

— Panie! pan przemocą ściskasz moje ręce i puśćże mnie pan!

— Psst!...

Nastąpiła lekka walka i potem znowu zapanowało milczenie.

— Tak więc od niejakiego czasu spotygam tutaj wcale ładną... — zaczął starzec.

— Co za ładną? — przerwała żona.

— Przecie mówiłem ci już przedtem, że spotkałem na schodach ładną młodą kobietę, czy może nie mówiłem? Mam słabą pamięć. Także kopytnik... kchy!

— Co?

— Kopytnik pić należy; powiadają, że od tego lżej się robi. Kchy-kchy!

— To pan mu przerwałeś! — półgębkiem rzekł młody człowiek, znowu zgrzytając zębami.

— Tyś mówił, że spotkałeś dzisiaj jakąś przystojną kobietę? — zapytała żona.

— Ha?

— Spotkałeś przystojną kobietę?

— Kto taki?

— No ty?

— Ja? kiedy? Aha, tak!...

— No, nareszcie! to dopiero mumia! — wyszeptał młody człowiek, w myślach podganiając starego zapominalskiego.

— Panie! wie pan, ja cały się trzęsę ze strachu...

— Mój Boże! Co ja słyszę? to tak jak wczoraj; zupełnie jak wczoraj!...

— Psst...

— Tak, tak, tak! Przypomniałem sobie: kokietka! Oczkami strzela... w niebieskiej czapeczce...

— W niebieskiej czapeczce! Oj-oj!

— To ona! Ona nosi niebieską czapczkę. Boże wielki! — zawołał półgłosem Iwan Andrzejowicz.

— Ona? Co za ona? — szepnął młody człowiek, ścisnąwszy ręce Iwana Andrzejowicza.

— Psst! — szepnął ze swej strony Iwan Andrzejowicz — On mówi.

— Ach, Boże mój, Boże!

— No tak, zresztą, któż nie nosi niebieskiej czapeczki... No!

— A taka kokietka! — ciągnął dalej staruszek. — Ona tu przychodzi do jakichś znajomych. Zawsze robi słodkie oczy. A do tych znajomych przychodzą inni znajomi...

— Fe, jakie to nudne — przerwała żona — daruj, ale czym ty się interesujesz?

— No, dobrze, no, no! Nie gniewaj się! — odparł stary — ja już nie będę opowiadał, jeśli sobie nie życzysz. Tyś coś dzisiaj nie w humorze...

— A pan, jakże się pan tutaj znalazł? — przemówił młody człowiek.

— A widzi pan! Teraz pana to interesuje, a przedtem, to nawet pan słyszeć o tem nie chciałeś!

— No, jest mi to obojętne! Nie mów pan! Ach, do djabła, co za historia!

— Człowieku, nie irytuj się pan; ja sam nie wiem, co mówię; ja tak sobie tylko; chciałem tylko powiedzieć, że to nie daremnie pan się tak tem zainteresował... Ale, kimże pan jesteś? Widzę, żeś pan nieznanomy; kim jednak pan jesteś, powiedzże pan wkońcu! Boże! sam nie wiem, co mówię!

— E! Daj mi pan pokój, proszę! — przerwał młody człowiek, jakgdyby coś obmyślając.

— No, ja już powiem panu wszystko, wszystko! Pan może myśli, że nie powiem, bo jestem zły na pana, nie! Oto moja dłoń! Jestem tylko przygnębiony, nic więcej. Lecz, na Boga, proszę mi najpierw powiedzieć: jak pan sam się tutaj dostał? Z jakiego powodu? Co do mnie, to ja się nie gniewam, dalibóg, nie gniewam się, masz pan dłoń moją na to! Tu dużo kurzu, trochę ją sobie umorusałem; nic to jednak wobec moich szczerych uczuć.

— E, idźże pan ze swoją dłonią! Niema się gdzie obrócić, a ten dłoń mi swoją pcha!

— Wie pan, łaskawy panie, pan tak się ze mną obchodzi, jak, za pozwoleniem, ze starą podeszwą, — wykrztusił Iwan Andrzejowicz ze ściśniętego rozpaczą gardła, głosem, w którym słyhać było tony błagalne. — Proszę się ze mną obchodzić uczciwiej, bodaj trochę uczciwiej, a ja panu wszystko wyznam! Mybyśmy wtedy polubili się wzajemnie; gotów jestem nawet zaprosić pana do siebie na obiad. A tak, leżeć nam tutaj wspólnie, otwarcie powiem, niema sensu. Pan się myli, młody panie! Pan nie wie o tem...

— Kiedyż on ją spotkał? — mamrotał młody człowiek, widocznie wzburzony do ostateczności. Być może, że ona mnie teraz oczekuje... Stanowczo muszę stąd wyjść!

— Ona? Co za ona? Boże! O kim pan mówi, młody człowieku? Myśli pan, że tam na górze... Boże! Boże! Za co mnie tak karzesz?

Iwan Andrzejowicz popróbował przerwrocić się na wznak, by dać wyraz swej rozpaczy.

— A panu co do tego, kto ona? A, bierz djabli. Było, nie było, ja wyłażę!...

— Panie łaskawy! Co pan wyrabia? A ja, ja co pocznę? — szepnął Iwan Andrzejowicz, w najwyższej rozpaczy uczepiwszy się poły fraka swego sąsiada.

— A cóż mnie to obchodzi? Zostań pan sam sobie. A jeśli pan nie chce, to ja, — pozwoli pan, — powiem, że pan jesteś moim wujem, który przeputał cały majątek, by ten stary nie pomyślał, że kochankiem jego żony jestem ja.

— Nie, młodzieńcze, tak nie można; to byłoby zbyt nienaturalne! Wujek... Nikt nam nie uwierzy. W to nikt, nawet dziecko, nie uwierzy — szeptał Iwan Andrzejowicz w ciągłej rozpaczy.

— No, więc nie pleć pan, tylko leż spokojnie! Pogódź się pan z losem, że trzeba tu przenocować. a jutro jakoś pan stąd wylezie; nikt pana nie zauważy; gdy już jeden wylezie, to napewno nikomu nie wpadnie do głowy, że został jeszcze drugi. Może cały tuzin? Chociaż, prawdę mówiąc, to pan wart tuzina. Ustąpcze się pan, albo ja wychodzę!...

— Pan mnie dręczy, panie... A co będzie, jeśli ja zakaszlę? Trzeba wszystko przewidzieć!

— Psst!

— Co to? znowu słyszę, jakgdyby suwanie się na górze — przemówił stary, który tymczasem, zdaje się, był już zadrzemał.

— Na górze?

— Słyszysz pan, młody człowieku, ja wyjdę.

— No, słyszę!

— Boże! młody człowieku, ja wyjść muszę.

— A ja zostanę! Wszystko mi jedno! Jeśli się już urwało i tak, to wszystko mi już jedno! A wie pan, co podejrzewam? Ja podejrzewam, że pan jesteś właśnie zdradzonym mężem; oto co ja myślę!...

— Boże! co za cynizm!... Czy rzeczywiście pan tak podejrzewa? Czemu jednak mężem...? — Ja nie jestem żonaty.

— Jakto nieżonaty? Koszałki!

— Być może, że ja sam jestem kochankiem!...

— Ładnym kochankiem!

— Panie, panie! No więc dobrze, wyznam panu wszystko. Słuchaj pan głosu mojej rozpaczy. To nie ja jestem żonaty. Jestem tak samo kawalerem, jak pan. To mój przyjaciel, towarzysz serdeczny z lat dziecięcych... ja zaś jestem kochankiem... Powiada mi: „jestem człowiekiem nieszczęśliwym, piję, powiada, kielich goryczy, podejrzewam żonę swoją, że...” — No, — mówię mu poważnie, — a o co ty podejrzewasz żonę?... Ale pan mnie nie słucha. Słuchajże pan, słuchaj! — Zazdrość jest rzeczą śmieszną, powiadam mu, zazdrość to grzech!... — „Nie” — rzecze, „jam nieszczęśliwy! Ja tego... kielicha, to jest, ja podejrzewam.” — Ty, powiadam, jesteś moim przyjacielem i towarzyszem mego szczęśliwego dzieciństwa. Razem zrywaliśmy kwiaty radości, tonęliśmy w puchach rozkoszy. — Boże, nie wiem, co mówię. Pan się śmieje, młody panie. Ja chyba zwarzuję przez pana.

— Pan już zwarzował!...

— Tak, tak, przeczuwałem, że pan to powie... gdy wspomniałem o warjacji. Śmieje się pan, śmieje się, młody człowieku. Ja także kwitnąłem w swoim czasie, był czas, że i ja uwodziłem! Ach! dostanę zapalenia mózgu!

— Co to, duszyczko, może być? Jakgdyby ktoś kichnął u nas? — zaśpiewał staruszek. — Czy to ty kichnąłeś, duszyczko?

— O, Boże! — rzekła żona.

— Psst! — dało się słyszeć pod łóżkiem.

— To z pewnością na górze się tłuką — odpowiedziała żona, zląkwszy się, bo pod łóżkiem, istotnie, wszczął się ruch.

— Tak, na górze! — potwierdził mąż. — Na górze! A ja ci mówiłem, że jakiegoś franta — kchy-kchy! plecy!... Franta dopieroco spotkałem, był z wąsikami!

— Z wąsikami! Boże, to napewno pana — szepnął Iwan Andrzejewicz.

— Boże, co to za człowiek! Przecie ja tutaj, tutaj razem z panem leżę! Jakżeż on mógł mnie spotkać? Nie chwytajże mnie pan za twarz!

-- Jezu, ja zaraz zemdleję.

W tej chwili istotnie doleciał zagadkowy szmer z góry.

— Co się tam dzieć może? — wyszeptał młody człowiek.

— Panie, zlituj się pan! Strach mnie zbiera! Pomóż mi pan.

— Psst!

— Rzeczywiście, duszko, szmer; cały dom się przez nich trzęsie. I to jeszcze nad twoją sypialnią. Czyby nie posłać do nich?

— Jeszcze co! Co ten wymyśla!

— No to już nie będę; tyś doprawdy dzisiaj taka zła...

— O Boże, idźże już raz spać.

— Lizo! Ty mnie jednak nie kochasz.

— Ach, Kocham! Ale, na Boga, jestem taka zmęczona.

— No dobrze, dobrze! Pójdę już.

— Ach nie, nie, nie idź! — zawołała żona — albo też idź, idź!

— Co tobie 'takiego! Raz idź, to znowu nie idź! Kchy-kchy! Lecz naprawdę czas już spać... kchy-kchy! A wiesz, te córeczki Panafidinów... Kchy-kchy! Córeczki... kchy! Mają prześliczne lalki norymberskie, kchy-kchy...

— Masz teraz, on mi teraz z lalkami!

— Kchy-kchy! Naprawdę prześliczne, kchy-kchy!

— Żegna się — szepnął młody człowiek — zaraz pójdzie, i my zaraz pójdziemy. Słyszysz pan? Cieszy się pan!

— O, żeby Pan Bóg dał!

— To lekcja dobra dla pana...

— Młody człowieku! Za cóż lekcja? Czuję to... Ale pan jesteś jeszcze zbyt młody; pan nie może mi jeszcze dawać lekcji.

— A jednak dam panu... Słuchaj pan.

— Boże, chce mi się kichać!...

— Psst! Nie waż się pan!

— Co mam zrobić? Tu tak zanosi myszami, że nie wytrzymam; wyjmij mi pan prędko z mego surduta chusteczkę, na miłość Boską; ja sam nie mogę się ruszyć... O Boże! Boże! za coś mnie tak ukarał?

— Ma pan tu chusteczkę! Za co pana Pan Bóg ukarał, ja panu zaraz powiem. Pan jesteś zazdrośnikiem. Opierając się, Bóg raczy wiedzieć, na czym, lata pan, jak podpalony, wdziera się pan do cudzych mieszkań, robi chryje...

— Młody panie! to nie ja zrobiłem chryję...

— Milczeć!

— Panie, pan nie możesz mi tu dawać lekcji moralności. Jestem w każdym razie moralniejszy od pana.

— Milczeć!

— Boże! Boże!

— Robi pan chryję, straszy młodą niewiastę, kobietę skromną i łekliwą, która nie wie, gdzie się podziać ze strachu, i bardzo być może, że się rozchoruje; niepokoi pan szanownego starca, znękanego hemoroidami, który przedewszystkiem potrzebuje spokoju, — a wszystko to dlaczego? Dlatego, żeś pan sobie coś uroił i latasz pan z tem

urojeniem po wszystkich zakamarkach! Rozumie pan, rozumie pan teraz, jakie to obrzydliwe i dlaczego znalazłeś się pan w takim ohydnych położeniu? Czuje pan to teraz?

— Proszę pana, dobrze! Czuję to, pan jednak nie ma prawa..

— Milcz pan! Nie gadaj pan o prawie! Czy pan to rozumie, że to się może skończyć tragicznie? Czy rozumie pan, że starzec, który kocha swoją żonę, może zmysły postradać, gdy zobaczy, jak pan będziesz wyłaził z pod łóżka? Lecz nie, pan nie jesteś zdolny spowodować tragedji. Gdy pan wylezie, sądzę, że każdy, kto pana zobaczy, wybuchnie śmiechem. Chciałbym pana widzieć przy świetle; jestem pewny, że pan bardzo śmiesznie wyglądasz.

— A pan? Pan również śmieszny jesteś w tym wypadku. Ja także chciałbym pana zobaczyć.

— Panie!

— Na panu z pewnością znać piętno niemoralnego życia, młody panie!

— A! Pan tu coś o moralności prawi! A po czem pan poznaje, w jakim celu ja tu przyszedłem? Ja tu przez omyłkę tylko wpadłem, omyliłem się co do pietra. I diabli wiedzą, czemu mnie tu wpuszczono! Z pewnością, ona rzeczywiście kogoś oczekiwała (rozumie się, nie pana). Schowałem się pod łóżko, gdy usłyszałem pańską głupią inwazję, widząc, jak okropnie ta niewiasta się przestraszyła. Na domiar, ciemno było. Ale to pana nie usprawiedliwia, że ja... Jesteś pan śmiesznym, zazdrosnym starcem. Dlaczego ja nie wychodzę? Pan zdaje się myśli, że ja się boję wyjść. Nie panie, dawno już wyszedłbym, i tylko z litości dla pana siedzę tu jeszcze. No, bo jak mam pana tu zostawić? Pan przecie stanąłby przed nimi jak pień, nie umiałby się pan wcale znaleźć. .

— Nie, dlaczego jak pień? Dlaczego jak ten przedmiot właśnie? Nie mógł mnie pan już z czem innym porównać, panie? Dlaczego się znaleźć nie potrafię? Właśnie, że potrafię.

— O'Boże, jak ten piesek szczeka!

— Psst! Ach, rzeczywiście... To dlatego, że pan wciąż gada. Widzi pan, zbudziłeś pan pieska. Teraz będzie bieda.

Istotnie, piesek pani, który przez cały czas dotychczas spał na poduszce w kącie, nagle się zbudził, zwęszył obcych i z głośnym szczekaniem rzucił się pod łóżko.

— O Boże! co to za głupi pies! — wyszeptał Iwan Andrzejowicz — on wyda nas wszystkich. On wszystkich wyprowadzi na czystą wodę... To dopiero kara boża!

— No tak: pan tak się boi, że się to łatwo zdarzyć może.

— Ami, Ami, chodź tu! — zawołała gospodyni domu — ici, ici!

Ale piesek nie słuchał i laźł prosto na Iwana Andrzejowicza.

— Co to takiego, duszyczko, że Ami ciągle szczeka? odezwał się staruszek. — Tam pewnie myszy albo też kot-mruczek siedzi. Dlatego ja słyszę, że ciągle coś kicha, ciągle kicha... Widać, kot ma dzisiaj katar.

— Leż pan cicho! — wyszeptał młody człowiek — nie ruszaj się! Może się ten przeklęty pies odcepi.

-- Panie! panie! puśćże pan moje ręce. Czego pan je trzyma jak w kleszczach?

— Psst! Milczeć!

— Ależ zlituj się pan; ten pies kąsa mnie w nos! Czy pan chce, bym tu swój nos stracił?

Nastąpiła walka i Iwan Andrzejowicz uwolnił swoje ręce. Piesek zanosił się od szczekania; nagle przestał szczekać i zapiszczał.

— Aj! — zawołała pani.

— Zbrodniarzu! co czynisz? — szepnął młody człowiek — pan nas obu gubi! Po co pan go złapał? Boże, on go dusi! Nie duś go pan! puść go! zbrodniarz! Ale pan nie zna serca kobiety! Ona nas obu wyda, jeśli pan zadusi jej pieska.

Lecz Iwan Andrzejowicz już niczego nie słuchał. Udało mu się złapać pieska i w zamiarze ochrony własnej osoby, zdusił jego gardło. Piesek zaskomlał i wydał ostatnie tchnienie.

— Przepadliśmy! — rzekł szeptem młody człowiek.

— Ami! Ami! — zakrzyczała niewiasta. — Boże! co oni robią z moim Amikiem? Ami! Ami! ici! O, zbrodniarze! barbarzyńcy! Boże, słabo mi!

— Co takiego? co takiego? — zawołał starzec, porwawszy się z krzesła — co tobie, duszko moja? Amiku! chodź tu! Ami! Ami! Ami! — krzyczał staruszek, trzaskając w dwa palce, przycmokując i wołając Amika z pod łóżka. — Amik! ici! ici! nie może być, by kot go tak zjadł. Trzeba nabić kota, duszyczko; już cały miesiąc nie był bity. Jak ty myślisz? Zrobię jutro naradę w tej sprawie z Parašką. Ale, Boże wielki! duszko droga! co tobie? Tyś pobladła... och! ach! Służba! służba!

I stary począł biegać po pokoju.

— Złodzieje! rozbójnicy! — krzyczała niewiasta, potoczywszy się na kozetkę.

— Kto? kto? kto taki? — krzyczał starzec.

— Tam są ludzie, obcy!... Tam, pod łóżkiem! O, Boże mój! Amiczku! Amiczku! co oni z tobą zrobili?

— Ach, Boże mój! Jacy ludzie? Amiczku... Nie, służba, służba, tutaj! Kto tam? kto tam? — zawołał starzec, uchwyciwszy świecę i schyliwszy się pod łóżko. — Kto tam taki? Służba, służba!...

Iwan Andrzejowicz leżał, raczej umarły niż żywy, obok nieruchomego trupa Amika. Młody człowiek zaś

pilnie baczył na każdy ruch starca. Wtem starzec zaszedł od strony drugiej ku ścianie i nachylił się. W mig młody człowiek wylazł z pod łóżka i rzucił się do ucieczki, podczas gdy mąż szukał swoich gości z drugiej strony małżeńskiego łóżka.

— Boże! — przemówiła szeptem niewiasta, wpatrzwszy się w młodego człowieka — kto pan taki? A ja myślałam...

— Ten zbój został — wyszeptał młody człowiek. — To on jest winowajcą śmierci Amika!

— Aj! — jęknęła niewiasta.

Lecz młody człowiek znikł już z pokoju.

— Aj! Tu ktoś jest! tutaj czyjś but! — zawołał mąż, złapawszy za nogę Iwana Andrzejowicza.

— Morderca! morderca! — wołała żona. — O, Amiku! Amiku!

— Wyłażcie! wyłażcie! — krzyczał starzec, tupiąc po dywanie obiema nogami, — wyłażcie! co wy za jeden? Mówcie, co wy za jeden! Boże! Co za dziwny człowiek!

— To rozbójnicy!...

— Na miłość Boską! — krzyczał Iwan Andrzejowicz, wyłażąc, — na Boga zaklinam łaskawego pana dobrodzieja, nie wołaj pan służby! Panie dobrodzieju! proszę nie wołać służby! To zupełnie zbyteczne. Państwo nie możecie mnie wyrzucić!... Ja nie jestem tym, za kogo mnie macie! Ja sam jestem.. Dobrodzieju, panie! to się stało przez omyłkę! Ja panu dobrodziejowi zaraz wszystko wytłumaczę! — bąkał Iwan Andrzejowicz, płacząc i szlochając. — To wszystko żona, to jest nie moja żona, tylko cudza żona, ja sam nie jestem żonaty, ja tak sobie... To mój przyjaciel i towarzysz młodości!...

— Jaki towarzysz młodości? — krzyczał stary, tupiąc nogami, — pan — jesteś złodziejem, przyszedłeś kraść... a nie towarzysz młodości...

— Nie, panie dobrodzieju, jam nie złodziej, ja naprawdę towarzysz młodości... ja tylko przypadkiem, omyliłem się, wszedłszy z drugiej bramy.

— Tak, ja widzę, panie pan, z jakiej pan bramy wylazł.

— Dobrodzieju! łaskawco! jam człowiek nie taki! pan się myli, zapewniam pana, że pan się grubo myli, łaskawy panie dobrodzieju! Proszę mi się przypatrzeć, proszę się dobrze przypatrzeć, a pozna pan po pewnych oznakach i okolicznościach, że ja nie mogę być złodziejem. Łaskawy panie, łaskawa pani! — wołał Iwan Andrzejowicz, składając ręce i zwracając się do młodej niewiasty, — pani jest kobietą, pani mnie zrozumie... To ja zabiłem Amika.. Ale ja temu nie jestem winien.. przysięgam na Boga, że nie ja jestem winien temu... Wszystkiemu jest winna żona. Jestem człowiekiem nieszczęśliwym, piję kielich!

— Przypuszczam, ale co mnie to obchodzi, że pan wypił kielich; być może, że pan nawet nie jeden kielich wypił, widać to wyraźnie z pańskiego położenia, ale jak pan się tutaj dostał, szanowny panie?! — krzyczał starzec, trzęsąc się cały ze wzburzenia, lecz rzeczywiście przekonany po niektórych oznakach i okolicznościach, że Iwan Andrzejowicz nie może być złodziejem. — Pytam się pana: jak się pan tutaj dostał? Pan jak rozbójnik...

— Nie rozbójnik, dobry panie, ja tylko przez tylną bramę; słowo panu daję, nie rozbójnik! Wszystko to przez to, że jestem zazdrosny. Ja panu wszystko opowiem, łaskawco mój, opowiem szczerze jak rodzonemu ojcu, dlatego, bo pan jest w takim wieku, że ja mogę pana uważać za ojca.

— Jakto w takim wieku?

— Przepraszam pana najmocniej! Może ja pana obraziłem? Istotnie, taka młoda żona... i pański wiek... bardzo

to przyjemnie, łaskawy panie dobrodzieju, rzeczywiście bardzo to przyjemnie widzieć takie małżeństwo... w kwiecie wieku... Ale niech pan nie woła służby... na Boga proszę, nie wołajcie służby... służba tylko śmiać się będzie... ja ich znam... To jest, ja nie chcę przez to powiedzieć, że znam się z samymi lokajami, — ja także mam lokajów, proszę pana, zawsze się śmieją... osły! Ekscelencjo... Zdaje się, jeśli się nie mylę, to rozmawiam z księciem...

— Nie, nie z księciem; ja, panie, jestem sobie... proszę, niech pan mi nie schlebia ekscelencją, by mnie ugłaskać! Znamy się na tem! Mów pan zaraz, jak pan się tu dostał, któredy pan tu wpadł?

— Ekscelencjo, to jest, panie dobrodzieju... przepraszam, przemówiło mi się, że pan jest ekscelencją, to się zdarza. Jest pan tak podobny do księcia Korotkouchowa, którego miałem zaszczyt widzieć raz u mego znajomego, pana Puzyrewa.. Widzi pan, ja także znam się z książętami, także widziałem księcia u mego znajomego; pan nie może mnie uważać za tego, za kogo mnie pan uważa. Nie jestem złodziejem. Dobry panie, nie wołaj pan służby! no, jeśli pan zawoła służbę, co panu z tego przyjdzie?

— Ale jak się pan tutaj dostał? — zawołała niewiasta. — Kim pan jesteś?

— Tak, kim pan jesteś? — pochwycił mąż, — a ja, duszyczko, myślałem, że to kot pod naszym łóżkiem siedzi i kicha. A to on. Ach ty, włóczęgo, kim jesteś? — mówże zaraz!

I staruszek znowu zatupał po dywanie nogami.

— Nie mogę mówić, dobrodzieju, czekam, aż pan skończy... uważam na pańskie pomysłowe żarty. Co się mnie tyczy, to jest to śmieszna historia. Ja panu wszystko opowiem. To wszystko może się i bez tego wyjaśnić, to jest, chcę mówić, niech pan nie woła służby, bo to rzecz zbyteczna! Proszę ze mną postąpić zwyczajem ludzi

szlachetnych... nic to, że ja siedziałem pod łóżkiem... nie utraciłem przez to swej powagi. Jest to historia bardzo komiczna, łaskawa pani! — mówił żywo Iwan Andrzejowicz, zwracając się błagalnie do małżonki starca. — zwłaszcza łaskawa pani śmiać się będzie. Oto widzi pani na scenie zazdrosnego męża. Widzi pani, ja się poniżam, ja sam dobrowolnie się poniżam. Ja zamordowałem Amika, to prawda, ale... Mój Boże, ja nie wiem, co ja mówię!

— Lecz jakże to, jakże się pan tu dostał?

— Korzystając z ciemności nocy, ekscelencjo, korzystając z tej ciemności... Moja wina! Proszę mi wybaczyć, ekscelencjo! Pokornie proszę o przebaczenie! Jestem tylko zdradzonym mężem, niczem więcej! Proszę nie myśleć, ekscelencjo, że byłem kochankiem! Nie jestem kochankiem. Żona pańska jest bardzo cnotliwa, jeśli śmiem się tak wyrazić. Ona jest czysta i niewinna!

— Co? Co? Co pan tu śmie mówić! — zawołał starzec, tupiąc znowu nogami. — Zwarjowałeś pan, czy co? Jak pan śmie mówić coś podobnego o mojej żonie?

— Ten zbrodniarz, morderca, który zabił Amika! — krzyczała żona, zalewając się łzami. — I on śmie jeszcze!

— Ekscelencjo, łaskawa pani! Mnie się tylko tak przemówiło, — wołał stropiony Iwan Andrzejowicz — przemówiło mi się tylko i nic więcej! Proszę mnie uważać za niespełna rozumu... Na Boga, uważajcie mnie za warjata... Klnę się na honor, że będę wam za to nadzwyczaj zobowiązany. Podałbym państwu dłoń do zgody, lecz nie śmiem... Ja tam nie byłem sam jeden, jestem wujem... to jest chciałem powiedzieć, że nie należy uważać mnie za kochanka... Boże! Znowu mi się przemawia... Nie miej do mnie, łaskawa pani, urazy! — wołał Iwan Andrzejowicz do żony. — Pani jest kobietą, pani rozumie, co to jest miłość — jest to uczucie subtelne... Ale co

ja plotę? Znowu mi się język płacze! To jest, chciałem powiedzieć, że jestem starcem, a właściwie starszym człowiekiem, nie starcem, — że ja nie mogę być pani kochankiem, że kochankiem jest Richardson, to jest Lovelace... pomięszło mi się; widzi pani jednak, ekscelencjo, że jestem człowiekiem wykształconym i znam się na literaturze. Łaskawa pani się śmieje. Cieszę się, bardzo się cieszę, że *sprowokowałem* śmiech pani dobrodziejki. O, ja się ogromnie cieszę, że sprowokowałem śmiech pani.

— Boże! cóż to za śmieszny człowiek! — wołała niewiasta, pokładając się ze śmiechu.

— Tak, śmieszny, a jaki zamorusany — dodał starzec ucieszony, że żona się śmieje. — Duszczyko, to nie może być złodziej. Ale jak on się tutaj dostał?

— Istotnie, rzecz bardzo dziwna! dziwna rzecz, łaskawi państwo! sytuacja jak z powieści! Jak? W głuchą północ, w stołecznym mieście, człowiek pod łóżkiem? Śmieszne to, dziwne! Coś w rodzaju Rinalda Rinaldini. Ale to nic, to wszystko nic, łaskawi państwo. Ja wam wszystko opowiem... A dla pani, łaskawa pani, postaram się o nowego pieska... Cudowny to piesek! Sierść ma taką długą, a łapki króciutkie, dwu kroków przejść nie potrafi: pobiegnie, zapłacze się we własnej sierści i upadnie. Jada tylko cukier. Ja go łaskawej pani przyniosę, napewno go przyniosę.

— Cha-cha-cha-cha! — Niewiasta wiała się na otomanie ze śmiechu. — Boże, ja chyba spazmów dostanę! Cóż to za śmieszny człowiek!

— Tak, tak! cha-cha-cha! Kchy-kchy-kchy! Śmieszny, taki zamorusany, kchy-kchy-kchy!

— Państwo łaskawi! czuję się teraz zupełnie szczęśliwym! Wyciągnąłbym rękę do was, lecz nie śmiem, czuję, że popełniłem błąd, teraz jednak otwierają mi się

oczy. Wierzę, że żona moja jest czysta i niewinna! Ja ją niesłusznie podejrzewałem.

— Żona, jego żona! — wołała niewiasta ze łzami w oczach ze śmiechu.

— On jest żonaty! Czy być może? A jabym był nigdy nie przypuszczał, — podchwycił starzec.

— Ja, proszę pana, mam żonę — i ona jest wszystkim winna, to jest, właściwie, ja jestem winien; podejrzewałem ją; wiedziałem, że tu urządzono schadzkę — tu na górze; przyłapałem karteczkę, omyliłem się o jedno piętro i przeleżałem pod łóżkiem...

— He-he-he!

— Ha-ha-ha!

— Cha-cha-cha-cha! — zachichotał wkońcu sam Iwan Andrzejowicz. — Jakiż ja jestem teraz szczęśliwy! Jak miło mi widzieć, że my wszyscy znajdujemy się w takiej zgodzie i pogodzie ducha! I moja żona zupełnie niewinna! Jestem o tem przekonany. Prawda, łaskawi państwo, ona jest niewinna?

— Cha-cha-cha! Kchy-kchy! Wiesz, duszyczko, która to? — przemówił wkońcu staruszek, przemagając śmiech.

— Która? cha-cha-cha! Która?

— To ta przystojnisia, co robi oczy, co to z tym frantem... To ona! idę o zakład, że to jest jego żona!

— Nie, panie łaskawy, jestem pewny, że to nie ona; jestem tak pewny, jak nigdy.

— Ale, dlaboga! Pan tu czas traci! — zawołała niewiasta, przestając się śmiać. — Biegnijże pan, lećże pan na górę. Może ich pan jeszcze zastanie...

— W samej rzeczy, państwo pozwolą, że ja polecę. Ale ja nikogo nie zastanę; to nie ona, pewny jestem tego, ona jest teraz w domu! To tylko ja! To moja zazdrość i nic więcej... Jak państwo myślicie, czy ja mógłbym ich tam zastać?

— Cha-cha-cha!

— Hi-hi-hi! Kchy-kchy!

— Prędeżyż, prędeży! A jak pan będzie wracał, to wstąp pan i opowiedz nam! — wołała niewiasta. — Albo nie: lepiej jutro rano, a niech pan i ją przyprowadzi: chciałabym ją poznać.

— Żegnam państwo, do widzenia! Z pewnością przyprowadzę; bardzo się cieszę, że się panie zaznajomicie ze sobą. Rad jestem i szczęśliwy, że wszystko tak niespodzianie skończyło się dobrze.

— I pieska! Niech pan nie zapomni. Przedewszystkiem pieska niech pan przyniesie!

— Przyniosę, łaskawa pani, napewno przyniosę — zawołał Iwan Andrzejowicz, znowu wbiegłszy do pokoju, bo już się był uklonił i wyszedł. — Rozumie się, że przyniosę. Przepyszny to piesek! Zupełnie, jakby go cukiernik zrobił z czekolady. Co ujdzie krok, zapłacze się we własnej sierści i pada. Jeszcze mówiłem do żony: „dlaczego to, duszyczko, on ciągle pada?” — „Taką ma naturę“, powiada. Z cukru, łaskawa pani, dalibóg, z cukru to piesek! Żegnam pięknie państwo! Bardzo, bardzo się cieszę, żeśmy się poznali.

Iwan Andrzejowicz raz jeszcze się uklonił i wyszedł.

— Hej, panie, panie! czekaj pan! wróćże się pan! — krzyknął staruszek w ślad za oddalającym się Iwanem Andrzejowiczem.

Ten zawrócił po raz trzeci.

— Nie mogę znaleźć naszego kota. Czy nie spotykał się pan czasem z nim, kiedy pan siedział pod łóżkiem?

— Nie, nie spotykałem się, proszę. Zresztą bardzo się cieszę ze znajomości i będę sobie miał za wielki honor...

— On ma teraz katar i ciągle kicha, ciągle kicha! Ale my musimy go wybić.

— Tak, łaskawy panie, pewnie. Jest rzeczą konieczną bić domowe zwierzęta.

— Co?

— Powiadam, że konieczną jest rzeczą tresować u domowych zwierząt układność i dobre obyczaje.

— Aha. No, z Panem Bogiem, z Panem Bogiem! Ja tylko chciałem co do kota zapytać.

Wyszedłszy na ulicę, Iwan Andrzejowicz długo stał w takiej pozycji, jakgdyby czuł, że za chwilę trafi go apopleksja. Wreszcie zdjął czapkę, otarł zimny pot z czoła, zmrużył oczy, coś sobie pomyślał i puścił się w drogę do domu.

Jakież było jego zdziwienie, gdy w domu się dowiedział, że jego Głafira dawno już przyjechała z teatru, że dawno ją bolą zęby, posyłała po doktora i po pijawki, a teraz leży w łóżku i czeka na niego.

Iwan Andrzejowicz uderzył się ręką w czoło, potem kazał służącej podać sobie wody i oczyścić się, wkońcu zebrał się na odwagę, aby wejść do sypialni żony.

— Gdzie ty się włóczysz po nocy? Popatrz, jak ty wyglądasz! Ty bezwstydniku! Gdzieśto przepadł? Ładny mąż! żona umiera, a jego w całym mieście znaleźć nie można! Gdzieś był? Czy nie łapałeś mnie czasem? Pewnie chciałeś wyłapać schadzkę, którą ja nie wiedzieć komu wyznałyłam? Wstyd doprawdy z takim mężem! Wnet mnie wszyscy palcami wytykać będą!

— Duszyczko! — odpowiedział Iwan Andrzejowicz. I nagle uczuł takie wzruszenie, że musiał sięgnąć do kieszeni po chusteczkę i przerwał rozpoczętą mowę dlatego, bo nie znalazł stosownych słów, ni myśli, ni natchnienia... Jakież było jego zdumienie i przestach, gdy razem z chusteczką wypadł z jego kieszeni nieboszczyk Amik! Iwan Andrzejowicz nawet nie pamiętał, jak w porywie

rozpaczy, zmuszony wyleźć z pod łożka, wsunął był Amika w chwili nieopisanego strachu w kieszeń w dalekiej nadziei, że ukryje końce, schowa dowód swej zbrodni i w ten sposób uniknie zasłużonej kary.

— A to co? — zawołała żona. — Martwy pies! Boże! skąd ty wracasz? co to ma znaczyć?... Gdzieś był? przyznaj mi się zaraz! gdzieś ty był?

— Duszycko! — odpowiedział Iwan Andrzejowicz, bardziej jeszcze martwy od Amika. — Duszycko!...

Ale w tem miejscu zostawimy naszego bohatera — aż do następnego razu dlatego, bo tu się zaczyna zupełnie inne i nowe wydarzenie. Kiedyś opowiemy państwu wszystkie te udreki i ciosy, jakimi los go doświadczał. Ale każdy chyba zgodzi się z nami, że zazdrość — jest to namiętność nie do przebaczenia, co więcej: nawet — nieszczęście...

KROKODYL,
ZDARZENIE NIEZWYKŁE
CZYLI
ZAJŚCIE W PASAŻU,

prawdziwa opowieść o tem, jak pewien jegomość w określonym wieku i określonego wyglądu został połknięty przez krokodyla w pasażu żywcem, cały do krzty, i jakie to miało następstwa.

I.

Trzynastego stycznia, roku pańskiego sześćdziesiątego piątego, w stuleciu dziewiętnastem, o godzinie pół do pierwszej popołudniu, Helena Iwanówna, małżonka Iwana Maciejowicza, mego wysoce wykształconego przyjaciela, kolegi biurowego i po części dalekiego kuzyna, wyraziła życzenie zobaczenia krokodyla, którego pokazywano za uiszczeniem wstępu w znanym pasażu w Petersburgu. Mając już w kieszeni bilet kolejowy do wyjazdu za granicę (nie tyle z powodu choroby, ile w zamiarze zwiedzenia Europy), a wskutek tego uważając się już za korzystającego z urzędowego urlopu i oczywiście, czując się zupełnie wolnym tego rana, Iwan Maciejowicz nie tylko nie stawiał przeszkód nieprzewyższonemu zachceniowi swej żony, ale nawet i sam zapałał wielką ciekawością. „Cudowna myśl, — rzekł zadowolony, — obejrzymy krokodyla! Wybierając się do Europy, nieźle będzie zaznajomić się jeszcze tu na miejscu z zamieszkującymi ją krajowcami“, — i z temi słowy, ująwszy żonę pod ramię, natychmiast wybrał się z nią do pasażu. Ja zaś, wedle swego zwyczaju, przyłączyłem się do nich — w charakterze przyjaciela domu. Nigdy jeszcze nie widziałem Iwana Maciejowicza w tak pogodnym nastroju duchowym, jak tego pamiętnego dla mnie rana, — dowód to, że nigdy nie wiemy naprzód, co nas czeka! Wszedłszy do pasażu, Iwan Maciejowicz zaczął się natychmiast zachwycać wspaniałością jego architektury, a zbliżywszy się do lokalu, w którym wystawiono na

pokaz świeżo przywiezionego do stolicy potwora, sam zapragnął zapłacić za mnie tytułem wstępu 25 kopiejek właścicielowi krokodyla, — co przedtem nigdy mu się nie zdarzało. Wszedłszy do niezbyt wielkiej sali, zauważyliśmy, że znajdują się w niej, oprócz krokodyla, także papugi, typu zagranicznych kakadu, a nadto grupa małp w osobnej klatce we framudze. Przy samem zaś wejściu, pod lewą ścianą stało ogromne blaszane naczynie w postaci jakoby olbrzymiej wanny, nakryte grubą siatką żelazną, a na dnie jego było trochę wody. W tej płytkiej kałuży leżał ogromny krokodyl, zupełnie nieruchomo, jak z drewna, widocznie pozbawiony wszystkich swych właściwości z powodu naszego surowego i niegościnnego dla obcokrajowców klimatu. Potwór ten nikogo z nas zrazu szczególnie nie zaciekał.

— A więc to jest krokodyl! — rzekła Helena Iwanówna głosem rozczarowanym i pełnym ubolewania, — a ja myślałam, że on... jest inny.

Najprawdopodobniej sądziła, że krokodyl zwykle jest brylantowy.

Gospodarz, właściciel krokodyla, Niemiec, przystąpił ku nam, patrząc na nas z nadzwyczajną dumą.

— Ma słusność, — szepnął do mnie Iwan Maciejowicz, — bo wie, że on jeden w całej Rosji prezentuje teraz krokodyla.

Tę zupełnie niedorzeczną uwagę także przypisuję temu niezmiernie pogodnemu nastrojowi, który opanował Iwana Maciejowicza, kiedyindziej bardzo zawistnego.

— Zdaje mi się, że pański krokodyl jest nieżywy, — znowu ozwała się Helena Iwanówna, zaintrygowana widoczną u Niemca pewnością siebie i z miłym uśmiechem zwracając się ku niemu, by udobruchać tego grubjanina, — manewr, tak właściwy kobietom.

— O nie, pani, — odpowiedział on łamaną rosyj-

szczyzną, i natychmiast, podniósłszy siatkę nad naczyniem do połowy, jął trącać głowę krokodyla swą laską.

Wtedy chytry potwór, by dać znak życia, zlekka ruszył łapami i ogonem, wzniosł paszczę i wydał coś podobnego do przeciągłego sapnięcia.

— No, nie gniewaj się, Karlchen! — pieszczotliwie rzekł Niemiec, mile podrażniony w swem samolubstwie.

— Co to za wstrętny krokodyl! Przestraszył mnie nawet, — zaszcebiotała Helena Iwanówna z jeszcze większą kokieterją, — teraz będzie mi się śnił po nocach.

— Ale on pani nie ukąsi we śnie, — podchwycił Niemiec z gestem światowca i sam pierwszy zaczął się śmiać ze swych żartobliwych słów, ale z nas nikt mu nie odpowiedział.

— Pójdźmy, Siemionie Siemionyczu, — mówiła dalej Helena Iwanówna, zwracając się wyłącznie do mnie — pójdźmy raczej obejrzeć małpy, ja okropnie lubię małpy; to takie miłe stworzonka, a krokodyl jest straszny.

— O nie bój się, moja droga! — zawołał w ślad za nami Iwan Maciejowicz, z przyjemnością udając walecznego przed swoją małżonką. — Ten senny mieszkaniec państwa Faraonów nie jest niebezpieczny, — i pozostał przy krokodylu. Co więcej, zdjąwszy rękawiczkę, zaczął łaskotać nią krokodyla w nos, pragnąc jak się przyznał później, zmusić go do ponownego sapnięcia. Gospodarz zaś pośpieszył za Heleną Iwanówną, z kurtuzą dla kobiety, w stronę klatki z małpami.

W ten sposób wszystko szło ładnie i składnie i niczego niespodziewanego przewidzieć nie można było. Helena Iwanówna wprost zachwycona była małpami i, zda się, cała im się oddała. Nie mogła się powstrzymać od okrzyków zadowolenia, ciągle zwracając się do mnie, jakgdyby nie chcąc wcale zwracać uwagi na gospodarza i zaśmiewała się z odkrytego przez siebie podobieństwa

tych małych ogoniastych do jej bliskich znajomych i przyjaciół. Wpadłem i ja w wesołość, bo podobieństwo było niewątpliwe. Niemiec, właściciel, nie wiedział, czy ma się śmiać, czy też nie, i dlatego wkońcu całkiem się zachmurzył. I oto w tej samej chwili nagle straszny, rzec nawet można, niesamowity krzyk wstrząsnął powietrzem sali. Nie wiedząc, co się stało, zrazu zastygłem na miejscu; lecz widząc, że krzyczy już także i Helena Iwanówna, szybko się odwróciłem i — cóż zobaczyłem! Zobaczyłem, o Boże! — zobaczyłem w straszliwej paszczy krokodyla nieszczęsnego Iwana Maciejowicza, schwytanego nią wpoprzek tułowia, podniesionego już poziomo w powietrze, i rozpaczliwie wywijającego w niem nogami. Następnie — jedno okamgnienie i przyjacię mój znikł całkiem. Opiszę to jednak szczegółowo, bo przez cały czas stałem bez ruchu i zdołałem zaobserwować cały przebieg tego, rozgrywającego się w moich oczach zdarzenia, z taką uwagą i ciekawością, jakiej nigdy przedtem nie pamiętam. — Bo też, myślałem w tej niezapomnianej chwili, — coby to było, gdyby tak zamiast Iwanowi Maciejowiczowi, mnie samemu się to przytrafiło, coby to była za nieprzyjemność dla mnie! Ale do rzeczy. Krokodyl zaczął od tego, że obróciwszy biednego Iwana Maciejowicza, usiłującego wyskoczyć i czepiającego się rękami brzegów krokodylej wanny, znowu wciągnął go w siebie, już wyżej pasa. Następnie, ponownie odżygnawszy, łyknął raz i raz jeszcze. W ten sposób Iwan Maciejowicz stopniowo znikał w naszych oczach. Wkońcu łyknawszy po raz ostatni, krokodyl wpakował w siebie całego mego, wysoce wykształconego przyjaciela i tym razem już do ostatka. Na powierzchni krokodyla można było zauważyć, jak przesuwiał się po jego wnętrzościach Iwan Maciejowicz w całej swej postaci. Co do mnie, to teraz znowu ja gotów byłem wszcząć krzyk, gdy wtem

los raz jeszcze zapragnął poigrać z nami swym nieprawdopodobnym kaprysem: krokodyl z natężeniem, prawdopodobnie dusząc się z powodu ogromu połkniętego przez siebie przedmiotu, znowu rozwarł swoją straszliwą gardziel i z niej w postaci ostatniego odzygu, nagle na jedną sekundę wyskoczyła głowa Iwana Maciejowicza z rozpaczliwym wyrazem twarzy, przyczem jego okulary momentalnie spadły mu z nosa na dno blaszanego naczynia. Zdawało się, że ta zrozpaczona głowa dlatego tylko wyskoczyła, by raz jeszcze rzucić ostatnie spojrzenie na całe otoczenie i w myśli pożegnać się ze wszystkimi przyjemnościami świata doczesnego. Lecz nie zdołała niestety urzeczywistnić swego zamiaru: krokodyl znowu zebrał siły, łyknął i głowa momentalnie znikła, tym razem już na wieki. To pojawienie się i zniknięcie żywej jeszcze głowy ludzkiej było tak okropne, równocześnie jednak — z powodu szybkości incydentu, zupełnie zresztą nieprzewidzianego, czy też w następstwie spadnięcia z nosa okularów — miało w sobie coś tak śmiesznego, że nagle i zupełnie niespodzianie, ja sam parsknąłem śmiechem; ale spostrzegłszy się, że śmiać się w takiej chwili zwłaszcza mnie, w charakterze przyjaciela domu, jest nieprzyzwoitością — natychmiast zwróciłem się do Heleny Iwanówny i rzekłem ze współczuciem:

— Teraz to już naszemu Iwanowi Maciejowiczowi — kaput!

Nie mogę nawet i myśleć o tem, by wyrazić, do jakiego stopnia doszło wzruszenie Heleny Iwanówny w ciągu całego tego zajścia. Zrazu, po pierwszym krzyku, jak gdyby zamarła na miejscu i patrzyła na tę nagłą awanturę z widoczną obojętnością, lecz i z niezwykle wytrzeszczonymi oczami; później nagle rozjęczała się rozdzierającymi biadaniami, ale ja złapałem ją za ręce. W tej chwili także i gospodarz, początkowo również skamie-

niały z przerażenia, nagle uderzył dłonią w dłoń i zawołał, patrząc na niebo :

— O, mój krokodyl, o, mein allerliebster Karlchen! Mutter, Mutter, Mutter!

Na ten krzyk otworzyły się tylne drzwi i pojawiła się mutter, w czepku, czerwona, sędziwa, rozczochna, i z piskiem rzuciła się do swego szwaba.

Zaczęła się istna sodoma-gomora: Helena Iwanówna wykrzykiwała jak szalona jedno tylko słowo: „*wsporotj, wsporotj!**) I miotała się od gospodarza do mutter, a od mutter do gospodarza, widocznie błagając ich — w chwilowem zapamiętaniu, by oboje kogoś i za coś rozpruli czy też wysiekli różgami. Gospodarz zaś i mutter na nikogo z nas nie zwracali uwagi: oboje wyli jak cielęta koło krokodyla.

— On przepadła, on siejczas bendzie pękła, bo on połknęła ganc czynownik! — krzyczał gospodarz.

— Unser Karlchen, unser allerliebster Karlchen wird sterben! — wyła gospodyni.

— My oba teraz sirota i bez chlib! — wtórował gospodarz.

— Wsporotj, wsporotj, wsporotj! — jęczała Helena Iwanówna, uczepiwszy się Niemca za poły surduta.

— On droczyła krokodyl, — poco wasz mąż droczyła krokodyl! — krzyczał ze swej strony, opędzając się Niemiec, — wy bendziecie placić, jeżeli Karlchen bendzie pękła, — das war mein Sohn, das war mein einziger Sohn!

Wyznaję, że byłem wprost oburzony, widząc taki egoizm przybłądy-Niemca i brak serca u jego rozczochniej mutter; niemniej jednak nieustannie powtarzane wołania Heleny Iwanówny: „*wsporotj, wsporotj!*“ większy

*) Wyraz ten oznacza w rosyjskim języku zarówno rozpruć, jak i wychłostać kogoś różgami. — *Przypis tłumacza.*

jeszcze budziły we mnie niepokój i pochłoneły wkońcu całą mą uwagę tak, że się nawet przeraziłem... Powiem zawczasu — że te dziwne okrzyki zrozumiałem jakoś zupełnie na opak: zdawało mi się, że Helena Iwanówna straciła na chwilę rozum, niemniej jednak, pragnąc zemsty za zgubę swego drogiego Iwana Maciejowicza, proponowała jako należną sobie satysfakcję ukaranie krokodyla w ten sposób, by go porządnie wysiec różgami. A tymczasem ona miała na myśli zupełnie coś innego. Oglądając się lękliwie na drzwi, zacząłem równocześnie błagać Helenę Iwanównę, by się uspokoiła, a przedewszystkiem, by nie używała podejrzanego słowa: „*wsporotj!*” Bo życzenie takie, objaw wstecznictwa, tu, w samem sercu pasażu i oświeconej społeczności, o dwa kroki od tej samej sali, w której może w tej samej chwili słynny Ławrow miał publiczny odczyt, — nietylko było niemożliwością, ale nawet wprost było nie do pomyślenia i każdej chwili narazić nas mogło na wygwizdanie ze strony oświeconych i na karykatury niejakiego Stiepanowa. Ku swojemu przerażeniu przekonałem się zaraz, że przezorne obawy moje były zupełnie słuszne; nagle bowiem rozwarła się zasłona, oddzielająca salę krokodylą od przedpokoju przy wejściu, gdzie zbierano ćwierćrubłówki, i oto na progu pojawiła się postać z wąsami, brodą i czapką *furażką* w ręku, mocno pochylona górną częścią ciała naprzód, bardzo starannie jednak usiłująca utrzymać swe nogi za progiem sali krokodylej, by mieć prawo nie zapłacić wstępu.

— Tak wsteczne życzenie, pani, — rzekł nieznajomy, starając się nie przewrócić i nie wpaść do nas, lecz utrzymać się za progiem, — wcale nie przynosi zaszczytu dojrzałości pani i tłumaczyć je należy brakiem fosforu w pani mózdzku. Zostanie pani wkrótce wygwizdana w kronice postępu i w naszych satyrycznych pismach...

Lecz nie dokończył: gospodarz bowiem, spostrzegłszy się z przerażeniem, że w sali krokodylej znajduje się ktoś, kto za to nie zapłacił, wściekły rzucił się na nieznanego postępowca i pięściami zwałił go w szyję. Na chwilę obaj zniknęli nam z oczu za zasłoną i wtedy dopiero domyśliłem się wkońcu, że cała chryja powstała bez powodu; Helena Iwanówna, jak się okazało, była zupełnie niewinna, ona wcale nie miała zamiaru, — jak to już wyżej zaznaczyłem, — poddawać krokodyla wstecznej i poniżającej karze chłosty, lecz poprostu chciała, by mu tylko rozpruto nożem brzuch i tym sposobem oswobodzono Iwana Maciejowicza z jego wnętrzości.

— Was? Wy chciała, coby mój krokodyla umarła!? — zakrzyczał znowu gospodarz, — nie, to niechaj mąż wasza najpierw umierała, a potem krokodyla! Mein Vater pokazał krokodyl, mein Grossvater pokazał krokodyl, mein Sohn bendzie pokazał krokodyl i ja bendzie pokazał krokodyl! Alle bendo pokazał krokodyl. Ja ganc Europa znajomy, a wy nieznanomy ganc Europa i mnie musić placić sztraf.

— Ja, ja! — pomagała złośliwa Niemka. — My was nie puścić bez sztraf, jeszli Karlchen bendzie penkla!

— Bezprzedmiotową jest rzeczą wszczynać teraz kłótnie, — wmięszałem się wreszcie sam, pragnąc skłonić Helenę Iwanównę do powrotu do domu, — bo nasz drogi Iwan Maciejowicz najprawdopodobniej przebywa teraz już gdzieś w zaświatach.

— Przyjacielu! — rozległ się w tej chwili zupełnie niespodzianie głos Iwana Maciejowicza, który nas wszystkich ogromnie zdziwił, — przyjacielu, sądzę, że należy działać wprost przez inspekcję policji, bo Niemiec bez tej pomocy nie zrozumie prawdy.

Słowa te wypowiedziane twardo, z naciskiem, będące dowodem niezwykłej przytomności umysłu, z początku

do tego stopnia nas zdziwiły, żeśmy wszyscy wierzyć nie chcieli własnym uszom, ale, rozumie się, podbiegliśmy natychmiast do ogromnej wanny z krokodylem i zarówno z pewnego rodzaju nabożnością, jak i z niedowierzaniem słuchaliśmy nieszczęsnego więźnia. Głos jego był zgłuszony, cienki, a nawet piskliwy i dochodził do nas jakoby ze znacznej odległości. Coś podobnego, jak kiedy żartowniś niektóry, wyszedłszy do drugiego pokoju i zasłoniwszy usta zwykłym jaśkiem zaczyna wołać, chcąc przedstawić pozostałej w pierwszym pokoju publiczności, jak to nawołują się dwaj chłopci na dalekim pustkowiu, lub też ponad głęboki jar pomiędzy sobą, — co miałem przyjemność nieraz słyszeć u mych znajomych podczas zabaw towarzyskich.

— Iwanie Maciejowiczu, mężu mój, a więc ty żyjesz! — zawołała Helena Iwanówna.

— Żyję i zdrów jestem, — odpowiedział Iwan Maciejowicz, i, dzięki Bogu, połknięty zostałem bez najmniejszego uszczerbku. Niepokoi mnie jedynie to, jak się będzie zapatrywała na ten epizod władza, bo otrzymawszy paszport za granicę, trafiłem w krokodyla, co nawet nie jest zbyt mądre.

— Ależ, mój drogi, nie troszcz się o mądrość; przede wszystkim trzeba cię jakoś stamtąd wydłubać, — prze-rwała Helena Iwanówna.

— Dłubać! — wrzasnął gospodarz, — ja nie dam dłubać krokodyl. Teraz publika bendzie bardzo dużo przychodził, a ja bendzie fuzzig kopiejek brał, i Karlchen przestanie penknąć.

— Gott sei Dank! — westchnęła gospodyni z ulgą.

— On ma rację, — spokojnie zauważył Iwan Maciejowicz, — ekonomiczna zasada przede wszystkim

— Przyjacielu! — krzyknąłem, — ja natychmiast lecę

do władz i wniosę zażalenie, bo przeczuwam, że my sami tutaj niczego nie wskóramy.

— Ja także tak myślę, — potaknął Iwan Maciejowicz, lecz bez ekonomicznego odszkodowania trudno byłoby w naszym stuleciu przesilenia w handlu i przemyśle za darmo rozpruć brzuch krokodylowi, a równocześnie nasuwa się nieuniknione pytanie: ile zażąda właściciel za swego krokodyla? A oprócz tego pytania jeszcze drugie: kto zapłaci? Bo ty wiesz, że ja środków nie posiadam...

— Może na conto pensji, — zauważyłem nieśmiało, lecz gospodarz natychmiast mi przerwał:

— Ja nie sprzedawać krokodyl, ja trzy tysionce sprzedawać krokodyl! ja cztery tysionce sprzedawać krokodyl! Teraz publika bendzie dużo chodził. Ja pienć tyśiency sprzedawać krokodyl.

Słowem, nieznośnie się rozzuchwalał; chęć zysku i brzydka zachłanność szkaradnie błyszcząły w jego oczach.

— A więc jadę! — krzyknąłem rozgoryczony.

— I ja! Ja także! Pojadę do samego Andrzeja Osipycza, wzruszę go swemi łzami, — rozżaliła się Helena Iwanówna.

— Nie czyn tego, żono, — przerwał jej Iwan Maciejowicz śpiesznie, bo dawno już trapiła go zazdrość o swą żonę, jeśli szło o Andrzeja Osipycza, i wiedział o tem, że żona chętnie pojedzie popłakać przed inteligentnym człowiekiem, bo ze łzami bardzo jej było do twarzy. — A tobie także, przyjacielu, nie radzę, — ciągnął dalej pod moim adresem, — niema poco jechać tak łapu-capu; mógłby jeszcze z tego wyniknąć skandal. Jedź ty raczej dzisiaj, tak niby na wizytę, do Timofieja Siemionycza; człek to starej daty i ograniczony, ale solidny, a przede-wszystkiem otwarty. Kłaniaj mu się odemnie i opisz mu wszystkie okoliczności tego zajścia. A ponieważ jestem mu winien tytułem ostatniej przegranej w labeta siedem rubli, więc oddaj mu je przy tej nadarzonej sposobności:

zmiękczy to serce tego surowego starca. W każdym razie rada jego może nam się przydać jako wskazówka, co dalej czynić należy. A teraz odprowadź do domu Helenę Iwanównę... Uspokój się, żono, — ciągnął dalej, — zmęczyły mnie wszystkie te krzyki i babskie narzekania i pragnę trochę zasnąć. Jest tu przecie ciepło i miękko, chociaż nie miałem jeszcze czasu rozejrzeć się w tem niespodziewanem swoim schronisku...

— Rozejrzeć się! A czy ci tam jest dość jasno? — zawołała Helena Iwanówna ucieszona.

— Otacza mnie ciemna noc, — odpowiedział biedny więzień, — mogę jednak macać, i że tak powiem rozglądać się rękami... Żegnaj więc, bądź spokojna i nie odmawiaj sobie rozrywek. Do jutra! Ty zaś, Siemionie, przyjdź do mnie wieczorem i zawiąż sobie węzełek, żebyś nie zapomniał, bo należysz do ludzi roztargnionych...

Wyznaję, że rad byłem już odejść, bo byłem tem wszystkiem znudzony i dość znudzony. Ująwszy śpiesznie pod ramię Helenę Iwanównę, rozżaloną, ale też jeszcze bardziej uroczą ze wzruszenia, czem prędzej wyprowadziłem ją z krokodylej komnaty.

— Wieczorem przy wstępie znowu dwadzieścia pięć kopiejek! — krzyknął w ślad za nami gospodarz.

— O Boże, cóż to za chciwiec! — rzekła Helena Iwanówna, przeglądając się w każdym zwierciadle w przejściu przez pasaż i widocznie uświadamiając sobie, że wyładniała jeszcze bardziej.

— Ekonomiczna zasada, — odpowiedziałem z lekką irytacją i szczygąc się swą towarzyszką wobec przechodniów.

— Ekonomiczna zasada... — powtórzyła Helena Iwanówna swym sympatycznym głosikiem — nie rozumiałam ani krzty, co właściwie mówił Iwan Maciejowicz o tej wstrętnej ekonomicznej zasadzie.

— Zaraz to pani wyjaśnię, — odpowiedziałem i zacząłem opowiadać o pomyślnych rezultatach przyciągnięcia obcych kapitałów do naszej ojczyzny, o czym czytałem jeszcze rano w „Petersburskich Izwjestjach“ i w „Głosie“!

— Jakie to wszystko dziwne! — przerwała mi po pewnym czasie, — przestańże pan nareszcie, szkaradniku; co za bzdurstwa pan plecie... Powiedz — piękna jestem?

— Pani jest cudowna, to za mało piękna! — odpowiedziałem, korzystając ze sposobności, by jej powiedzieć komplement.

— Podchlebca! — rzekła zadowolona ze siebie. — Biedny Iwan Maciejowicz, — dodała po chwili, kokieteryjnie odrzuciwszy głowę trochę na bok, — doprawdy żał mi go. Ach Boże! — krzyknęła nagle, — powiedz mi pan, jakże on tam dzisiaj będzie jadł i... i... i jak on będzie... jeśli mu czegoś będzie potrzeba?

— Zagadnienie nieprzewidziane, — odpowiedziałem również stroskany.

I rzeczywiście nie przychodziło mi to na myśl; wiadać kobiety praktyczniejsze są od nas, mężczyzn, przy przemyślaniu zadań życia!

— Biedaczek! Jakże on się wpakował... i żadnych tam niema rozrywek i ciemno do tego... Jak mi przykro, że nie posiadam żadnej jego fotografii... A zatem jestem czemś w rodzaju wdowy, — dodała z powabnym uśmiechem, widocznie zainteresowana swą nową sytuacją, — hm!... a jednak żał mi go!...

Krótko mówiąc — były to wyrazy zupełnie zrozumiałej i naturalnej żałoby młodej i zajmującej żony po utraconym mężu. Przyprowadziłem ją wkońcu do domu, uspokoiłem i posiliwszy się wraz z nią obiadem, po filiżance aromatycznej czarnej kawy, wybrałem się o szóstej godzinie do Timofjeja Siemionycza, licząc na to, że

o tej porze wszyscy żonaci ludzie, posiadający określone zajęcia, siedzą lub też leżą w domu.

Napisawszy ten pierwszy rozdział w stylu przystosowanym do opowiedzianego zdarzenia, mam zamiar użyć w dalszym ciągu sposobu opowiadania, może nie tak podniosłego, lecz za to bardziej naturalnego, o czym wczasu czytelnika zawiadamiam.

II.

Szanowny Timefjej Siemionycz powitał mnie jakoś skwapliwie i jakgdyby trochę zmięszany. Zaprowadził mnie do swego ciasnego gabinetu i starannie zamknął drzwi: „by dzieci nam nie przeszkadzały“, rzekł z widocznym niepokojem. Potem prosił mnie usiąść koło biurka, sam usiadł na fotelu, ogarnął się połamami swego starego, wowanego szlafroka i przybrał na każdy wypadek jakiś oficjalny, a nawet prawie surowy wyraz twarzy, jakkolwiek nie był ani moim naczelnikiem, ani Iwana Maciejowicza, lecz uważaliśmy go dotychczas za zwykłego kolegę biurowego, a nawet znajomego.

— Przedewszystkiem. — rozpoczął, — proszę wziąć pod uwagę, że ja nie jestem władzą, lecz jestem zupełnie tak samo człowiekiem podwładnym, jak pan i Iwan Maciejowicz... Jestem człowiekiem postronnym i nie mam zamiaru do niczego się wtrącać.

Zdziwiło mnie to, że on widocznie wszystko już wie. Nie bacząc na to, opowiedziałem mu na nowo całą historję ze wszystkimi szczegółami. Mówiłem nawet z gorliwością i wzruszeniem, bo spełniałem w tej chwili obowiązek prawdziwego przyjaciela. Wysłuchał mnie bez szczególnego zdziwienia, ale z nieukrywaną nieufnością.

— Trzeba panu wiedzieć, — rzekł wysłuchawszy, —

że ja zawsze przypuszczałem, iż jemu niechybnie się to przytrafi.

— Dlaczego, Timofjeju Siemionyczu, przecie wypadek ten, sam w sobie, bardzo jest niezwykły i rzadki...

— Zgoda, ale Iwan Maciejowicz przez cały czas trwania swej służby właśnie miał skłonność do osiągnięcia takiego rezultatu. Był prędko i zarozumiały. Nosił się zawsze z tym „postępem“ i rozmaitemi ideami, a oto widzi pan teraz, dokąd ten postęp prowadzi!

— Ależ to jest najniezwykleszy wypadek i nie można go żadną miarą uważać za regułę ogólną dla wszystkich postępowców...

— Nie, tak jest istotnie. Widzi pan, pochodzi to z nadmiernego wykształcenia, proszę mi wierzyć. Bo ludzie nadmiernie wykształceni pchają nos wszędzie, a zwłaszcza tam, gdzie nikt o nich nie pyta. Zresztą, może pan wie lepiej odemnie, — dodał jakgdyby obrażony. — Ja nie jestem człowiekiem nadmiernie wykształconym, jestem stary; zacząłem skromnie jako dziecię pułku i obchodziłem tego roku pięćdziesięcioletni jubileusz swej służby.

— Przepraszam najmocniej, pan daruje, Timofjeju Siemionyczu. Przeciwnie, Iwan Maciejowicz żądny jest pańskiej światłej rady, pańskiej wskazówki, co czynić należy. A nawet prosi o nią ze łzami w oczach, że tak powiem.

— „Ze łzami w oczach“. Hm! No, są to łzy krokodyle i można im śmiało nie wierzyć. Niech mi pan powie, co jego ciągnęło za granicę? I za jakie pieniądze? Przecie on nie posiada na to środków.

— Za uskładane, Timofjeju Siemionyczu, z ostatniej premji, — odpowiedziałem żałośnie. — Wszystkiego na trzy miesiące się wybierał, — do Szwajcarii... do tej ołczyzny Wilhelma Tella.

— Wilhelma Tella? Hm!

— A do Neapolu chciał zjechać z wiosną. Pragnął obejrzeć muzeum, zapoznać się z tamtejszemi obyczajami, zaznajomić się z fauną...

— Hm! Z fauną? A mnie się zdaje, że kierowała nim poprostu pyszałkowatość. Co za fauna? Fauna! Czy to my nie mamy własnej fauny? Posiadamy zwierzyńce, muzea, wielbłądy. Niedźwiedzie bytują pod samym Petersburgiem. To też i osiadł on sam w krokodylu...

— Timofjeju Siemionyczu, zlituj się pan, człowieka spotkało nieszczęście, człowiek udaje się do pana jak do przyjaciela, jak do ojca, prosi o radę, a pan — czyni mu wyrzuty... Niechże pan okaże współczucie bodaj nieszczęśliwej Helenie Iwanównie!

— Mówi pan o jego żonie? Interesująca to kobiątka, — odparł Timofiej Siemionycz, a serce jego widocznie zmiękło. Z apetytem wznosił szczyptę tabaki do swego nosa. — Subtelna to osóbką. A jaka pulchna! Główkę to zawsze tak na boczek przekrzywia, na boczek... Bardzo miła. Andrzej Osipycz przedwczoraj jeszcze wspominał o niej.

— Wspominał?

— Tak, wspominał, i to bardzo pochlebnie. „Biust, powiada, spojrzenie, fryzura... Cukierek, powiada, a nie niewiastka” i zaraz się zaśmiał. Pan Andrzej Osipycz jest młodym jeszcze człowiekiem. — Timofiej Siemionycz kichnął donośnie. — A tymczasem jakążę karierę toruje sobie ten młody człowiek...

— Ale tu idzie o co innego, Timofjeju Siemionyczu!

— Oczywiście, oczywiście.

— Więc jakże będzie, Timofjeju Siemionyczu?

— A cóż ja mogę zrobić?

— Niechże pan poradzi, nie poskąpi swych wskazówek, jako człek doświadczony, krewny prawie! Co przedsiębrać należy? Czy iść do władzy, czy też...

— Do władzy? Absolutnie nie, — śpiesznie odpowiedział Timofiej Siemionycz. — Jeśli pan życzy sobie mojej rady, to sądzę, że przedewszystkiem należy sprawę tę zatuszować i działać, że tak powiem, w charakterze osoby prywatnej. Wypadek jest podejrzany i niebывały. Główna rzecz, że niebывały, dotychczas bezprzykładny, a przytem źle świadczący... Dlatego wskazana jest przedewszystkiem ostrożność... Niech sobie już tam poleży. Trzeba wyczekać, wyczekać...

— Jakże tu można wyczekiwać, Timofieju Siemionczu? A co będzie, jeśli on się tam zadusi?

— Czemużby się miał zadusić? Przecie, o ile mi się zdaje, opowiadałeś pan, że on się tam urządził prawie z komfortem?

Opowiedziałem wszystko jeszcze raz. Timofiej Siemionycz zamyślił się.

— Hm! — zaczął znowu mówić, obracając tabakierkę w rękach, — sądzę, że to nawet dobrze, jeśli poleży sobie tam przez jakiś czas, zamiast gdzieś za granicą. Niech się podczas tego odpoczynku zastanowi głębiej; rozumie się, dusić się nie powinien i dlatego powinien przedsiębrać odpowiednie środki celem ochrony swego zdrowia: no, wystrzegać się kaszlu i tak dalej... A co się tyczy Niemca, to wedle mego osobistego przekonania, racja i prawo są po jego stronie i nawet o wiele bardziej, jak po stronie drugiej, bo to *w jego* krokodyla wlezione bez pozwolenia, a nie *on* wlażył w krokodyla Iwana Maciejowicza, który, o ile pamiętam, nawet nie miał własnego krokodyla. No, a ponieważ krokodyl stanowi własność prywatną, więc nie można go rozciąć bez odszkodowania.

— Jeśli jednak idzie o ocalenie człowieczeństwa, Timofieju Siemionczu?

— No, to jest już rzeczą policji i do niej też w takim razie należy się odnieść...

— Przecie Iwan Maciejowicz może być potrzebny u nas. Mogą go zażądać.

— Co? Iwan Maciejowicz może być u nas potrzebny? He-he! A w dodatku, przecie on ma urlop, a zatem my możemy w ogólności go ignorować, a on niech sobie tam zwiedza kraje Europy. Inna rzecz, jeśli on nie jawi się w oznaczonym terminie, no, wtedy, to zapytamy o niego, wdrożymy dochodzenia...

— Trzy miesiące! Timofjeju Siemionyczu, zlituj się pan!

— Sam sobie winien. Bo czy go kto tam gwałtem wsunął może? W takim razie, proszę, to chyba trzebaby dla niego najać rządową niańkę, a to nie jest wcale przewidziane w budżecie. A co najgłówniejsza, to to, że krokodyl stanowi własność prywatną, a więc wchodzi tu już w grę tak zwana zasada ekonomiczna. A zasada ekonomiczna przedewszystkiem. Onegdaj podczas kolacji u Łukasza Andrejicza pan Ignatij Prokoficz mówił o tem bardzo trafnie: „Nam, powiada, potrzebny jest przemysł; przemysł, powiada, znajduje się obecnie u nas w zupełnym upadku. Trzeba pomyśleć o jego sanacji. Trzeba powołać do życia kapitał, a więc i stan średni, to znaczy, burżuazję. A ponieważ u nas kapitalizm nie istnieje, więc musi się przyciągnąć kapitały z zagranicy. Należy przedewszystkiem dać koncesję zagranicznym spółkom akcyjnym na wykupienie ziem naszych, całemi gubernjami. Własność ludowa — to trucizna, to ruina! Upadła przez nią zarówno przemysł, jak i rolnictwo. Trzeba, by towarystwa zagraniczne wykupiły, jeśli możliwe, całą naszą ziemię, — stopniowo, — a następnie trzeba dzielić, dzielić, dzielić na możliwie małe działki, i sprzedawać je na własność prywatną. Lub też nawet nie sprzedawać, tylko

oddawać w dzierżawę. Gdy już cała ziemia rosyjska będzie w rękach koncesjonowanych towarzystw zagranicznych, wtedy można wyznaczyć dowolne czynsze za wydzierżawienie. W konsekwencji muzyk będzie pracował w trójnasób, już choćby tylko dla chleba powszedniego, i można go będzie w każdej chwili wypędzić! To znaczy, będzie on to czuł, stanie się pokorniejszym, uległym i w trójnasób będzie pracował. A teraz, w obecnych stosunkach, w gminach ludowych, co mu tam! Wie, że mimo wszystko z głodu nie umrze, więc się leniwi i zapija. A tak, to i monetę zyskamy i kapitały się rozrosną i burżuazja powstanie. Oto i angielska polityczno-literacka gazeta „Times“, omawiając nasze finanse, skonstatowała onegdaj, że finanse nasze właśnie dlatego nie wzrastają, bo brak nam stanu średniego, wielkich trzosów, a proletarjat nie chce pracować...“ Tak trafnie mówił Ignatij Prokoficz. Znakomity teoretyk. Mówił, że przedłożył władzom swój projekt reform, a następnie ogłosił go w „Izwestjach“. To nie są żadne poezje a la Iwan Maciejowicz.

— A cóż z Iwanem Maciejowiczem? — (powróciłem do mego przyjaciela).

— Właśnie do tego zmierzam, — odparł. — Przecie my sami staramy się obecnie o pozyskanie kapitałów zagranicznych dla naszej ojczyzny, a oto niech pan sam rozważy: wszak sam tylko kapitał przyjezdnego właściciela krokodyla podwoi się przez Iwana Maciejowicza, a my zamiast otoczyć swą protekcją obcego przybysza, zagranicznego kapitalistę, przeciwnie — staramy się jego kapitałowi zakładowemu rozpruć brzuch. A czy tak być powinno? Mojem zdaniem, Iwan Maciejowicz, jeśli by był prawdziwym synem swej ojczyzny, to powinien się cieszyć i szczyścić tem, że podwoił sobą wartość zagranicznego krokodyla, podwoił, a może nawet i potroił. Pożyteczna to rzecz dla przyciągnięcia zagranicznego kapitału.

Uda się jednemu, patrzysz, wnet oto i drugi z krokodylem przyjedzie, a trzeci to odrazu dwa lub trzy przywiezie, a wokoło nich kapitały grupują się i grupują. Wtedy i burżuazja nasza powstanie! Trzeba stworzyć dogodne warunki.

— Miejże litość, Timofjeju Siemionyczu! — zawołałem, — wszak pan żąda od biednego Iwana Maciejowicza prawie nadludzkiego samozaparcia!

— Ja niczego nie żądam. I przedewszystkiem proszę, — jak już i poprzednio prosiłem, — mieć to na uwadze, że ja nie jestem władzą, ergo od nikogo niczego żądać nie mogę. Jako syn ojczyzny mówię, to jest mówię nie jako „Syn Ojczyzny“, lecz poprostu, jako syn ojczyzny mówię. I pytam znowu, kto jemu kazał leźć do wnętrza krokodyla? Człowiek solidny, piastujący urząd, żyjący w legalnem małżeństwie, i nagle — taki krok! Czyż to się godzi?

— Ależ krok ten zdarzył się zupełnie niespodzianie.

— A któż to wie napewno? A przytem z jakichże sum ma się zapłacić właścicielowi krokodyla, niech mi pan powie?

— Może zaliczkując na jego pensję, Timofjeju Siemionyczu?

— A pensja na to wystarczy?

— Nie wystarczy, niestety, — odpowiedziałem ze smutkiem. — Ten Niemiec z początku się przestraszył, że krokodyl jego pęknie, a potem, gdy się przekonał, że wszystko dobrze się układa, zaczął się robić ważnym i ucieszył się, że może cenę podwoić.

— Potroić, w czwórnasób podnieść! Publiczność teraz przyplynie, a tacy właściciele krokodyli, to naród bardzo przemyślny. A w dodatku wszyscy mięsożercy posiadają skłonność do ekscentrycznych rozrywek i dlatego, powtarzam, przedewszystkiem niechaj Iwan Macie-

jowicz zachowuje incognito, niech się nie śpieszy. Niechaj sobie wszyscy nawet wiedzą, że on się znajduje w krokodylu, niech jednak nikt o tem nie wie oficjalnie. Co do tego, to Iwan Maciejowicz znajduje się nawet w bardzo sprzyjających okolicznościach, bo uważa się go za przebywającego za granicą. Ktoś bąknie, że on jest w krokodylu, lecz my mu nie damy wiary. Już to można będzie tak urządzić. Główna rzecz — niech czeka; bo i poco ma się śpieszyć?

— No, a jeśli..

— Bądź pan spokojny, jest on silnej konstytucji fizycznej.

— No, a potem, skoro już wyczeka swoje?

— No, nie będę ukrywał przed panem, że wypadek to krańcowo kazuistyczny. Trudno się zorientować, a co najgłówniejsza, przeszkadza tutaj to, że dotychczas jest to coś zupełnie bezprzykładnego. Jeśliby u nas zaistniał był kiedykolwiek przedtem podobny przykład, to jeszcze możnaby siak-tak nim się pokierować. A tak, jakże tu powziąć decyzję? Trzebaby się dłużej zastanowić i sprawa musi potrwać.

Szczęśliwa myśl błysnęła mi w głowie.

— A czy nie możnaby tak urządzić, — ozwałem się, — że skoro już wyrokiem losu musi on przebywać we wnętrznościach potwora, a z woli Opatrzności pozostanie przy życiu, to czy nie mógłby on wnieść podania, by mu ten czas zaliczono do służby?

— Hm!... chyba jako bezpłatny urlop...

— Nie, czy nie możnaby urlopu tego uważać właśnie za płatny?

— Na jakiejże podstawie?

— Jako urlopowanego w charakterze odkomenderowanego na ekspedycję...

— Jaką i dokąd?

— No, do wnętrzości, do wnętrzości krokodylich... powiedzmy, celem przeprowadzenia badań, celem zaznajomienia się na miejscu z faktami. Rzecz to nowa, naturalnie, ale zgodna z duchem postępu i równocześnie wykaże troskę rządu o oświatę mas...

Timofiej Siemionycz zamyślił się.

— Odkomenderować osobnego urzędnika, — rzekł wkońcu, — do wnętrzości krokodyla ze szczególnymi poleceniami, — jeśli idzie o moje zdanie osobiste, — byłoby to nadużyciem. W budżecie państwa coś takiego nie jest przewidziane. Zresztą, jakież to szczególne polecenia do tych okolic możnaby mu wydać?

— No, powiedzmy dla gruntownego zbadania natury tam na miejscu, w samym środku życia. Obecnie wszędzie wybiły się na pierwsze miejsce nauki przyrodnicze, botanika... Więc on by tam żył i przysyłał komunikaty... No, naprzykład, o trawieniu jadła albo poprostu o zwyczajach i obyczajach. Celem zebrania faktycznego materiału.

— To znaczy, dla statystyki, to ma pan na myśli. W tem to już ja nie jestem specjalistą ani filozofem. Powiada pan: fakty, — my i bez tego zawałeni jesteśmy faktami i nie wiemy, co z nimi począć. A w dodatku ta statystyka to rzecz niebezpieczna...

— Czemuż to?

— Niebezpieczna, powtarzam, a przytem zgodzi się pan ze mną, że on będzie nam komunikował o faktach, że tak powiem, leżąc na boku, a czyż można pełnić obowiązki służbowe, leżąc na boku? Byłoby to wprowadzeniem nowych i na pewno niebezpiecznych zwyczajów w urzędowaniu; a zresztą, znowu nie posiadamy tu odpowiedniego precedensu. Gdybyśmy posiadali bodaj najmniejszą tradycję w tym kierunku, to proszę bardzo, sądzę, że w takim razie możnaby go odkomenderować.

— Ależ bo i żywych krokodyli nie przywożono do nas dotychczas, Timofjeju Siemionyczu.

— Hm! Tak... — I znowu się zamyślił. — Jeśli pan koniecznie chce, to uwaga pańska jest słuszna i mogłaby posłużyć za podstawę do dalszego konstruowania sprawy. Ale musi pan wziąć i to pod uwagę, że jeśli z pojawieniem się żywych krokodyli zaczną przepadać urzędnicy, a następnie na tej zasadzie, że tam jest ciepło i miękko, będą sami masowo starali się o odkomenderowanie ich do tych okolic, a potem leżeć sobie będą na boku... to przyzna pan chyba, że projekt taki nie jest zbyt rozumny i celowy. W takim razie, proszę, każdyby tam polazł, by za darmo brać pensję.

— W każdym razie niech go pan nie opuści, Timofjeju Siemionyczu! Aha! Iwan Maciejowicz prosił mnie, bym panu odniósł jego dług honorowy, siedem rubli, przegranych w labeta.

— Ach tak, przegrał do mnie onegdaj u naszego wspólnego znajomego, Nicefora! Pamiętam. Taki był wtedy jeszcze wesoły, stroił żarty i tak... raptem...

Stary był szczerze wzruszony.

— Niechże go pan nie opuści, Timofjeju Siemionyczu,

— Będę się starał. Pomówię od siebie prywatnie, zapytam niby. A zresztą niech się pan dowie, nieoficjalnie, ze swej strony, ile właściwie zgodziłby się wziąć Niemiec za swego krokodyla?

Widać było, że Timofiej Siemionycz się udobruchał.

— Dowiem się z pewnością, — odpowiedziałem, — i natychmiast zgłoszę się do pana ze sprawozdaniem.

— A żona jego... sama teraz? Nudzi się?

— Może ją pan odwiedzi, Timofjeju Siemionyczu.

— Owszem, odwiedzę, chciałem jeszcze onegdaj to zrobić, a oto dobra sposobność się nadarzyła... I co mu

strzeliło do głowy z tem oglądaniem krokodyla! A zresztą, jabym i sam chciał go zobaczyć.

— Niechże pan odwiedzi biedaka, Timofjeju Siemionyczu.

— Dobrze, odwiedzę go. Rozumie się, nie chciałbym tym swoim krokiem obudzić w nim nieusprawiedliwionych nadziei. Przyjdę jako osoba prywatna... No, do widzenia; śpieszę się do Nicefora; przyjdzie pan tam?

— Nie, ja idę do więźnia.

— Tak, teraz do więźnia!... E — ech, lekkomyślność i basta!

Pożegnałem się ze starcem. Wszelakie myśli chodziły mi po głowie. Dobry to i poczciwy człowiek, ten Timofiej Siemionycz. i wychodząc od niego, szczerze się radowałem, że obchodzi już pięćdziesięcioletni jubileusz, bo tacy jubilaci są obecnie u nas doprawdy rzadkością. Rozumie się, natychmiast poleciałem do pasażu, by złożyć sprawozdanie ze wszystkiego biednemu Iwanowi Maciejowiczowi. Trapiła mnie też ciekawość, jak on się tam w krokodylu urządził i wogóle, jak można żyć w krokodylu? I czy rzeczywiście można w nim żyć? Czasami mi się, naprawdę, zdawało, że wszystko to jest jakimś snem potwornym, tem bardziej, że miało się tu do czynienia z potworem...

III

A jednak nie był to sen, lecz najoczywistsza, nie ulegająca żadnej wątpliwości jawa. Gdyby inaczej było, — to czyż opowiadałbym o tem? Oto, co nastąpiło dalej...

Do pasażu doszedłem późno już, około dziewiątej, i do krokodylej sali musiałem wejść tylnymi drzwiami, bo Niemiec zamknął wejście od frontu, tym razem wcześniej jak zwykle. Chodził on szerokimi krokami, — był

u siebie w domu, — w jakimś zatłuszczonym, starym surducie i był jeszcze bardziej zadowolony ze siebie, niż rano. Widać było, że niczego się już nie boi i że „publika dużo chodził“. *Mutter* wyszła trochę później, oczywiście w tej myśli, by uważać na mnie. Niemiec często szeptem rozmawiał z nią o czemś. Mimo, że widowisko było już zamknięte, kazał mi zapłacić 25 kopjejek tytułem wstępu.

Co za zbyteczna skrupulatność!

— Pan bendzie kaszdy raz placić, publika bendzie rubel placić, a pan fünf und zwanzig kopjejek, bo pan dobry pszyjaciel od pański dobry pszyjaciel, a ja szanuje pszyjaciel...

— A żyje? Czy żyje jeszcze mój wysoce wykształcony przyjaciel? — głośno zawołałem, podchodząc do krokodyla i spodziewając się, że słowa moje zdaleka jeszcze dotrą do Iwana Maciejowicza i połączą milę jego samolubstwo.

— Żyję i zdrów jestem, — odpowiedział mi, jakgdyby skądś zdaleka lub z pod łóżka, chociaż stałem obok niego, — żyję i zdrów jestem, ale o tem potem... Powiedz mi, co i jak?

Jakby rozmyślnie nie dosłyszawszy zapytania, jąłem gorliwie i skwapliwie sam go wypytywać: jak mu tam, co się z nim dzieje, jak jest w krokodylu i wogóle co się tam znajduje we wnętrzu potwora? Wymagała tego i przyjaźń między nami i zwykła przyzwoitość. Lecz on przewrwał mi kapryśnie i ze złością.

— Pytam, co i jak? — zakrzyczał, komenderując mną, jak zwykle, swym piskliwym głosem, który tym razem budził niezwykłą odrazę.

Opowiedziałem mu całą swą rozmowę z Timofiejem Siemionyczem szczegółowo, do ostatniej kropki. Opowiadając, starałem się dać wyraz swemu oburzeniu.

— Starzec ma słusność, — zdecydował Iwan Macie-

jowicz tonem ostrym, jak to czynił zazwyczaj podczas swych rozmów ze mną. — Lubię ludzi praktycznych, a nie cierpię sentymentalnych dziam. Gotów jednak jestem przyznać, że i twoja myśl co do odkomenderowania mnie tutaj, nie jest całkiem niedorzeczna. Istotnie, mogę zakomunikować wiele rzeczy ważnych dla nauki i co się tyczy stosunków obyczajowych. Obecnie jednak wszystko bierze nowy i niespodziewany obrót i nie warto troszczyć się o same tylko pobory. Słuchaj uważnie. Ty siedzisz?

— Nie, stoję.

— No, to usiądź sobie gdziekolwiek bądź, choćby na podłodze i słuchaj uważnie.

Zirytowany wzięłem krzesło i ze złością stawiając je, stuknąłem niem o podłogę.

— Słuchaj, — zaczął mówić tonem rozkazującym, — przychodziły tu dzisiaj ogromne tłumy publiczności. Pod wieczór nie wystarczyło miejsca i zjawiała się policja dla utrzymania porządku. O ósmej t. j. wcześniej jak zwykle, gospodarz widział się zmuszonym zamknąć swe widowisko¹ i przerwał przedstawienie, by obliczyć uzyskaną kasę i przygotować się lepiej na jutro. Wiem, że jutro zbierze się tu cały kiermasz. Przypuszczać należy, że całe wykształcone towarzystwo stolicy, świat kobiecy z wyższych sfer, posłowie i ambasadorowie obcych państw, cała palestra i t. p. przesuną się przez tę salę. Ba, co więcej: najeżdża się tu mnóstwo ludzi z odległej prowincji, z całej naszej szerokiej, a ciekawej ojczyzny. Rezultat jest ten — że wszystkich oczy na mnie są zwrócone, i choć jestem w ukryciu, ale mam wszędzie pierwszeństwo. Zacznę uczyć głupi tłum. Sam pouczony doświadczeniem, przedstawiać będę w swojej postaci przykład wzniosłości i zarazem pokory wobec losu! Będę, że tak powiem, katedrą, z której zaczną uczyć ludzkość! Same już przyrodniczo-naukowe odkrycia, o których, jako o zaobserwowa-

nych w zamieszkiwanym przez siebie potworze, mogę zakomunikować, — są drogocenne. I dlatego nietylko nie utyskuję na mój wypadek dziś rano, ale spodziewam się nawet, że zrobię najświetniejszą karierę.

— A czy ci się nie sprzykrzy? — zauważyłem uszczypliwie.

Najbardziej rozłościło mnie to, że on prawie zupełnie już zaniechał używania, powszechnie u nas przyjętego wymienia imienia rozmówcy, jak i patronimikonu, — do tego stopnia wzbił się w pychę. Nie mniej jednak mnie samego to stropiło. „I czemu, czemu właściwie ten lekkomyślny pęcherz tak się nadyma!“ zgrzytałem szeptem do siebie. „Tu płakać należy, a nie drzeć nosa.“

— Nie! — odpowiedział ostro na mą uwagę, — bo teraz dopiero, przejęty wielkimi ideami, mogę odpoczywając marzyć o polepszeniu losu całej ludzkości. Z krokodyla wyjdzie teraz prawda i światło. Niewątpliwie utworzę nową, własną teorię o nowych stosunkach gospodarczych i dumny z niej będę — czego dotychczas zapracowany w biurze i pogrążony w marnych rozrywkach świata osiągnąć nie mogłem. Wszystko obalę i stanę się nowym Fourier'em. Do rzeczy: czyś oddał Timofiejowi Siemionyczowi siedem rubli?

— Z własnych pieniędzy oddałem, — odpowiedziałem, chcąc zaznaczyć, że zapłaciłem z własnych funduszów.

— Policzymy się, — rzekł tonem wyższości. Spodziewam się podwyżki poborów, bo i komuż mieliby je podwyższyć, jeśli nie mnie? Pożytek ze mnie będzie teraz ogromny. Ale wróćmy do naszych spraw. Cóż żona?

— Ty, zdaje mi się, pytasz o Helenę Iwanównę?

— Żona?! — krzyknął tym razem z jakimś piskiem.

Cóż było robić! Pokornie, znowu jednak zgrzytając zębami, opowiedziałem, w jakim nastroju zostawiłem Helenę Iwanównę. Lecz on nawet nie dosłuchał do końca.

— Co do niej, mam osobne widoki, — zaczął niecierpliwie. — Skoro ja będę znakomitością *tutaj*, to chcę, by ona była nią *tam*. Uczeni, poeci, myśliciele, mineralogowie, przybysze z zagranicy, mężowie stanu, po porannej gawędce ze mną, będą przebywali wieczorami na przyjęciach w jej salonie. Przyjęcia te powinny się u niej rozpocząć w przyszłym tygodniu, regularnie każdego dnia wieczorem. Środków na to dostarczy moja podwojona pensja, tembardziej, że przyjęcie powinno się ograniczać do samej herbaty i najętych lokai. I tu i tam będzie mowa o mnie. Dawno pragnąłem, by wszyscy o mnie mówili, lecz nie mogłem tego dopiąć. skrępowany małym znaczeniem i niedostateczną rangą. Obecnie zaś wszystko to osiągnięte zostało jakimś zwykłym sobie krokodylem półknięciem. Każde me słowo będzie uważnie wysłuchiwane, każde wyrażenie będzie przemyślane przez innych, podawane z ust do ust i drukiem. Zmuszę ich wkońcu do powszechnego uznania! Zrozumieją wreszcie, jakim zdolnościom pozwolili zniknąć we wnętrzościach krokodyla. „Ten człowiek mógł być ministrem spraw zagranicznych i rządzić królestwem“, powiedzą jedni. „I ten człowiek nie stanął na czele jakiegoś obcego królestwa“, powiedzą drudzy. A żona powinna tworzyć pendant do mnie — ja reprezentuję rozum, ona zaś piękno i tworzy niesłychanie miłe zjawisko. „Ona jest cudowna, dlatego też jest jego żoną“, powiedzą jedni. „Ona jest cudowna *dlatego, bo jest jego żoną*“, poprawiać będą inni. Na każdy wypadek niechaj Helena zaraz jutro kupi sobie Encyklopedję Krajewskiego, by mogła nauczyć się mówić o wszystkim. A przedewszystkiem niechaj czytuje wstępne artykuły polityczne w „Petersburskich Izwiestjach“, zestawiając je codziennie z „Gołosem“. Przypuszczam, że gospodarz zgodzi się na to, by mnie czasami zanoszono razem z krokodylem do świetnego salonu mojej żony. Będę stał

w tem naczyniu na środku wspaniałego salonu i będę sypał bystreml uwagami, które sobie przygotowuję jeszcze w godzinach porannych. Mężowi stanu zakomunikuję swe projekty; z poetą mówić będę rymami. dla pań będę niewyczerpaną skarbnicą wytwornych żartów i dobrych manier, — a równocześnie wcale nie będę niebezpieczny dla ich mężów. Dla wszystkich innych będę przykładem podania się losowi i woli Opatrzności. Z żony swojej uczynię literacki fenomen; wysunę ją naprzód i objaśnię ją wobec publiczności; jako moja żona musi być pełna wspaniałej godności i jeśli posiadamy już naszego rosyjskiego Alfreda de Musset, to z tem większą słuszością nazwą moją żonę rosyjską Eugenją Tours.

Wyznaję otwarcie, że chociaż całe to dzikie gadanie nie było żadną niespodzianką u takiego Iwana Maciejowicza, (taki był zawsze), mimo to przemknęła mi myśl, że on musi mieć teraz gorączkę i bredzi. Był to ten sam zwykły i codzienny Iwan Maciejowicz, ale widziany przez szkło powiększające dwudziestokrotnie.

— Przyjacielu, — zapytałem go, — czy masz nadzieję, że będziesz długo żył? I wogóle powiedz mi: czyś ty zdrow? Jakże ty jadasz, jak sypiasz, jak oddychasz? Jestem twoim przyjacielem, przyznaj, że wypadek bardzo jest niezwykły, a więc i ciekawość moja bardzo zwyczajna.

— Głupia to ciekawość i basta, — odpowiedział sentencjonalnie, — ale ci ją zaspokoję. Pytasz, jak się urządziłem we wnętrzościach potwora? Po pierwsze, krokodyl, ku mojemu zdziwieniu, okazał się zupełnie pustym. Wnętrze jego składa się jakoby z ogromnego pustego worka z gumelastyki, w rodzaju tych artykułów gumowych, które tak są rozpowszechnione u nas w ulicy Gorochowej, Morskiej i, jeśli się nie mylę, na Wozniesieńskim Prospekcie. W przeciwnym razie, sam pomyśl, jakżebym się mógł w nim pomieścić?

— Czy być może! — zawołałem w zrozumiałym zdziwieniu. — Czy naprawdę krokodyl jest zupełnie pusty?

— Zupełnie — surowo i przekonywająco potwierdził Iwan Maciejowicz. — I najprawdopodobniej urządziło go tak samo prawo natury. Krokodyl rozporządza tylko paszczą, zaopatrzoną w ostre zęby, a jako dodatek do paszczy posiada bardzo długi ogon, — oto i wszystko, cały stan faktyczny. W środku zaś pomiędzy temi dwiema jego kończynami znajduje się przestrzeń pusta, powleczone czemś w rodzaju kauczuku, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, istotnie kauczukiem.

— A żebra, a żołądek, a kiszki, a śledziona, a serce? — przerwałem ze złością.

— Niczego podobnego, zupełnie niczego takiego tu niema i prawdopodobnie nigdy nie było. Wszystko to są głupie fantazje lekkomyślnych podróżników. Ja nadymam obecnie sobą krokodyla, podobnie jak nadymają poduszkę na krzesła dla tych, co cierpią na hemoroidy. Jest on rozciągliwy do nieprawdopodobnych granic. Nawet ty, w charakterze przyjaciela domu, mógłbyś się pomieścić razem ze mną, jeśli byś się odznaczał wielkodusznością, — i wtedy nawet dośłyby jeszcze tu było wolnego miejsca. Zamyślam nawet, w ostateczności, zamówić tu Helenę Iwanównę. Zresztą podobne pustopróżne urządzenie krokodyla zupełnie się zgadza z naukami przyrodniczemi, bo przypuśćmy na przykład, że dane ci jest urządzić nowego krokodyla, — to staniesz przed następującem przyrodniczem zagadnieniem: jaka jest zasadnicza właściwość krokodyla? Odpowiedź jest jasna: połykać ludzi. — Jakiemże teraz urządzeniem można to osiągnąć u krokodyla, by połykał ludzi? Odpowiedź jest jeszcze jaśniejsza: urządziwszy go pustym. Fizyka dawno już ustaliła, że natura nie znosi próżni. Podobnie i wewnątrz krokodyla musi być właśnie puste, by nie znosić próżni i w konsekwencji po-

łykać i napełniać się wszystkim, co tylko jest pod ręką. Oto jest jedyny rozumny powód, dlaczego wszystkie krokodyle połykają naszych braci. Nie tak się rzecz ma z organizmem człowieka: naprzykład, im bardziej pusta jest głowa ludzka, tem mniej odczuwa żądzę wypełnienia się; jest to jedyny wyjątek z powszechnej reguły. Wszystko to stało mi się teraz jasnym jak na dłoni. Do wszystkiego tego doszedłem własnym rozumem i doświadczeniem, znajdując się, że tak powiem, we wnętrzościach przyrody, w jej retorcie, przysłuchując się biciu jej pulsów. Popiera mnie nawet etymologia, bo sama nazwa krokodyl oznacza żarłoczność. Krokodyl, crocodillo, jest to słowo oczywiście włoskie, współczesne może dawnym egipskim Faraonom, i naturalnie pochodzące od francuskiego źródłosłowa croquer, co oznacza zjeść, zeżreć i wogóle użyć na jadło. Wszystko to mam zamiar przeczytać — w postaci pierwszej lekcji — publiczności, zebranej w salonie Heleny, gdy mnie tam zanoszą w krokodylu.

— Przyjacielu, czy nie powinienbyś ty wziąć teraz bodaj na przeczyszczenie — zawołałem mimowoli. — „On ma gorączkę, wysoką gorączkę, mówi w gorączce!” — powtarzałem sam do siebie przerażony.

— Bajdurzysz! — odpowiedział pogardliwie — a przytem jest to w mojem terazniejszym położeniu zupełnie niepotrzebne. Zresztą, ja po części wiedziałem, że ty zaczniesz mówić o przeczyszczających środkach.

— Ależ przyjacielu, a jakże... jakże ty teraz używasz jadła? Jadłeś ty dzisiaj obiad czy nie?

— Nie, jestem jednak syty i prawdopodobnie od teraz nigdy już jadła używać nie będę. I rzecz to zupełnie zrozumiała: napełniając sobą całe wnętrze krokodyla, czynię go zawsze sytym. Teraz można go kilka lat nie karmić. Z drugiej strony, — on, syty mną, naturalnie

udzieli i mnie wszystkich soków żywotnych ze swego ciała; jest to coś w tym rodzaju, jak naprzykład niektóre wydelikaczone kokietki obkładają siebie i wszystkie swe kształty na noc surowemi kotletami i następnie, wzięwszy rano kąpiel, stają się świeże, jędrne, soczyste i ponętne. W ten sposób żywiąc sobą krokodyla, ja nawzajem otrzymuję i od niego żywność; czyli, że my wzajem się odżywiamy. Ponieważ jednak nawet i krokodylowi trudno jest strawić takiego człowieka jak ja, to naturalnie musi on już przy tem odczuwać pewną ciężkość w żołądku, którego zresztą nie posiada, i oto dlaczego, by nie sprawić zbytecznych boleści potworowi, ja rzadko przewracam się z boku na bok, i chociażbym mógł się przewrócić, lecz nie uczynię tego z poczucia ludzkości. Jest to niedomoga w mem obecnem położeniu, i w znaczeniu allegorycznem Timofiej Siemionycz ma rację, nazywając mnie legejdą. Ale ja dowiodę, że i wylegując się na boku, — mało powiedziałem, — że tylko wylegując się na boku można sprowadzić przewrót w losach ludzkości. Wszystkie wielkie idee i kierunki naszych dzienników i czasopism, oczywiście, wykultywowane są przez legejdów; oto dlaczego nazywają ich idee gabinetowemi, ale splunąć na to, że je tak nazywają! Utworzę teraz cały system specjalny i nie uwierzysz, jak to łatwo! Trzeba tylko odosobnić się, zamknąć się gdzieś w kącie lub chociażby dostać się do krokodyla, zamknąć oczy i natychmiast stworzysz prawdziwy raj dla całej ludzkości. Rano już, gdyście tylko odeszli, natychmiast zacząłem tworzyć i stworzyłem trzy systemy, a obecnie pracuję nad czwartym. Prawda, najpierw trzeba wszystko obalić; ale z krokodyla tak łatwo jest obalać; co więcej, z krokodyla wszystko to widzi się jakoś jaśniej... Zresztą, w mojem położeniu istnieją jeszcze pewne braki, choć niewielkie; wewnątrz krokodyla jest trochę wilgotnie i wszystko tu

pokryte jest jakoby śluzem, prócz tego zanosi trochę gumą, zupełnie tak samo jak od moich zeszlórocznych kaloszy. Oto wszystko, zresztą żadnych braków niema.

— Iwanie Maciejowiczu, — przerwałem, — wszystko to są cuda, w które zaledwie mogę wierzyć. I zali, zali ty zamierzasz przez całe życie nie jeść?

— O jakie głupstwa ty się troszczysz, nieopatrzna, nierozsądna głowo. Ja ci o wielkich ideach prawie, a ty... Dowiedz się zatem, że jestem syty już ze samych tych wielkich idei, rozświetlających noc, która mnie otacza. Zresztą, dobroduszny gospodarz, właściciel potwora, porozumiawszy się ze swą, odznaczającą się dobrem sercem, *mutter*, postanowił, że będą oboje każdego rana wsuwać przez paszczę krokodyla wygiętą rurkę metalową, w rodzaju piszczalki, przez którą mógłbym wciągać w siebie kawę lub buljon z rozmoczoną w nim bułką. Piszczalka ta zamówiona już została w sąsiedztwie, sądzę jednak, że jest to zbyt ciężkie. Mam przecież nadzieję, że pożyję przynajmniej tysiąc lat, jeśli prawdą jest, że tyle lat żyją krokodyle, o czym, — dobrze, że sobie przypomniałem — przekonaj się zaraz jutro z jakiegokolwiek historii naturalnej i upewnij i mnie, bo mogłem się pomylić, pomiészawszy krokodyla z jakimś innym zwierzęciem wykopaliskowem. Jedna tylko okoliczność mnie niepokoi: ponieważ jestem ubrany w sukno i mam na nogach buty, to krokodyl, oczywiście, nie może mnie strawić. Nadto — żywy jestem i dlatego opieram się przetrwaniu siebie całą swą wolą, bo rzecz zrozumiała, że nie chcę zamienić się w to, w co zamienia się każda potrawa, bo byłoby to dla mnie bardzo poniżające. Ale obawiam się jednej rzeczy: w ciągu tysiąca lat sukno mego surduta, na nieszczęście rosyjskiego wyrobu, może zbutwieć i wtedy, zostawszy bez odzienia, mimo całe swe niezadowolenie z takiego stanu rzeczy, zacznę, przepraszam cię, przetra-

wiać się, i chociaż we dnie ja absolutnie nie dopuszczę do tego i na to nie pozwolę, ale w nocy, we śnie, gdy wola od człowieka odlatuje, może mnie spotkać bardzo poniżający los jakiegoś kartofla, placka lub cielęciny. Myśl taka doprowadza mnie do szaleństwa. Już z tego jednego powodu należałoby zmienić przepisy cłowe i zezwolić na import sukien angielskich, które są mocniejsze, a więc i dłuższy będą stawiały opór naturze, na wypadek, jeśli się wpadnie w krokodyla. Przy pierwszej sposobności podzielę się swą myślą z którymś z mężów stanu, a równocześnie i z referentami politycznymi naszych petersburskich dzienników. Niechaj ją wykrzyczą. Spodziewam się, że oni nie tylko w tem jednym zapożyczą się u mnie. Przeczuję, że każdego rana cały tłum ich, uzbrojony w redakcyjne 25-kopjejkówki, będzie się cisnął wokół mnie, by ułović myśli moje o wczorajszych telegramach. Krótko mówiąc — przyszłość przedstawia mi się w bardzo różowem świetle.

„Gorączka, gorączka!“ szeptałem do siebie.

— Przyjacielu, a wolność? — przemówiłem, pragnąc w całości poznać jego zdanie. — Przecie ty znajdujesz się, powiedzmy, w ciemnicy, podczas gdy człowiek powinien rozkoszować się wolnością i swobodą.

— Dureń jesteś, — odpowiedział, — tylko ludzie dzicy lubią niezawisłość, ludzie zaś mądrzy lubią porządek, a jeśli niema porządku...

— Iwanie Maciejowiczu, oszczędzaj mnie i zlituj się!

— Milcz i słuchaj! — wrzasnął zły, że mu przerwałem. — Nigdy jeszcze nie szybował duch mój tak, jak teraz. W ścisłem schronisku swoim obawiam się jednego — krytyki literackiej poczytnych czasopism i gwizdania naszych świstków satyrycznych. Lękam się, by lekkomyślni goście, głupcy i zazdrośnicy i wogóle nihiliści, nie wystawili mnie na śmiech. Zarządę jednak środki

ochronne. Niecierpliwie oczekuję jutrzejszych głosów z pośród publiczności, a przede wszystkim — opinii prasy. O prasie zaraz jutro mnie poinformuj.

— Dobrze, zaraz jutro przyniosę ci cały stos gazet.

— Jutro jeszcze zawczasie na głosy prasy, bo u nas reporterkę umieszcza się dopiero w cztery dni później. Od dzisiaj jednak przychodź co wieczora przez tylne drzwi od podwórza. Mam zamiar zająć cię jako swego sekretarza. Będziesz mi czytywał dzienniki i czasopisma, ja zaś będę ci dyktował swoje myśli i wydawał zlecenia. Nie zapominaj zwłaszcza o najświeższych depeszach. Każdego dnia żeby mi tu były wszystkie depesze z Europy. No, dość już: ty, zdaje się, chcesz spać. Idź do domu i nie myśl o tem, co ci przed chwilą mówiłem o krytyce: ja się jej wcale nie obawiam, bo ona sama znajduje się w położeniu krytycznym. Trzeba być tylko mądrym i cnotliwym, a z pewnością staniesz na piedestale. Jeśli nie będę Sokratesem, to będę Diogenesem, albo raczej i jednym i drugim równocześnie, oto jest moja przyszła rola w świecie.

Tak lekkomyślnie i natrętnie (co prawda, w gorączce) pośpieszył się Iwan Maciejowicz z wypowiedzeniem się przedemną, podobnie, jak to czynią te baby o słabych charakterach, co do których wiadome jest notorycznie, że nie potrafią zachować sekretu. Wszystko też to, co zakomunikował mi o krokodylu, było dla mnie bardzo podejrzane. No, bo czyż to możliwe, żeby krokodyl był zupełnie pusty? Założę się, że on się tylko tak pochwalił z pyszałkowatości, a także, by mnie poniżyć. Prawda, że on chory, a choremu należy wybaczyć; lecz przyznaję się otwarcie, że ja nigdy nie mogłem znieść tego Iwana Maciejowicza. Przez całe życie, od swego dzieciństwa zaczynając, pragnąłem gorąco, i nigdy nie mogłem się uwolnić od jego nieproszonej opieki. Tysiąc razy chcia-

łem, byśmy sobie nawzajem napluli w twarz raz na zawsze, i każdym razem znowu mnie ciągnęło do niego, jak gdybym ciągle jeszcze miał nadzieję przekonania go o czemś i zemszczenia się na nim. Dziwną rzeczą jest przyjaźń! Pozytywnie mogę powiedzieć, że w dziewięciu dziesiątych byłem jego przyjacielem ze złośliwości. Tym razem jednak pożegnaliśmy się serdecznie.

— Pańska psyjaciel to bardzo mondra szlowek! — rzekł mi półgłosem Niemiec, zbierając się, by mnie odprowadzić; słuchał on, leżąc przez cały czas, naszej rozmowy.

— A propos, — rzekłem, — żeby nie zapomnieć, — ileby pan wziął za swego krokodyla, w razie, jeśliby zamierzano go kupić u pana?

Iwan Maciejowicz, zasłyszawszy to pytanie, z ciekawością oczekiwał odpowiedzi. Widać było, że nie chciał, by Niemiec mało zażądał; w każdym razie, przy mojem zapytaniu chrząknął jakoś osobliwie.

Niemiec zrazu nie chciał wcale słyszeć o niczem, a nawet się rozgniewał.

— Nikt nie śmie zakupić mój własny krokodyl! — krzyknął wściekły i poczerwieniał jak rak. — Ja nie chciała sprzedać mój krokodyl! Ja milion talary nie wezmie za krokodyl. Ja sto trzydzieści talary dzisiaj brała od publika, a jutro dziesięć tysioncy zebrała, a potem sto tysioncy kaszdy dzień zebrała. Ja nie chciała sprzedać.

Iwan Maciejowicz aż zachichotał z zadowolenia.

Pohamowawszy się, z zimną krwią i rozważnie, — spełniałem bowiem obowiązek prawdziwego przyjaciela, — odpowiedziałem zwarjowanemu Niemcowi, że rachuby jego niezupełnie są usprawiedliwione, że jeśli on każdego dnia będzie zbierał po sto tysięcy, to w ciągu czterech dni przejdzie tędy cały Petersburg i potem nie będzie już od kogo dalej zbierać, że panem życia i śmierci jest Bóg, że

krokodyl może pęknąć, a Iwan Maciejowicz zachorować i umrzeć i t. d. i t. d.

Niemiec zamyślił się.

— Ja bendzie jemu krople z apteka dawał, — rzekł po namyśle, — i pański przyjaciel nie bendzie umrzeć.

— Krople kroplami, — rzekłem, — ale niech pan uwzględni i to, że i proces sądowy grozi. Żona Iwana Maciejowicza może w drodze ustawowej zażądać swojego prawowitego małżonka. Pan pragnie się wzbogacić, a czy zamierza pan wyznaczyć bodaj jaką taką pensję Helenie Iwanównie?

— Nie, ja nie zamierza! — stanowczo i surowo odpowiedział Niemiec.

— Nie, my nie zamierza! — potwierdziła wprost ze złością *mutter*.

— A więc, czy nie lepiejby było panu wziąć zaraz teraz, bodaj cokolwiek razem, może i umiarkowaną sumę, ale pewną i solidną, niż liczyć na niepewne? Uważam za swój obowiązek dodać, że zapytuję ze samej tylko głupiej ciekawości.

Niemiec wziął *mutter* i oddalił się z nią, celem narażenia się, w ką, gdzie stała klatka z największą i najwstrętniejszą małpą z całej kolekcji.

— Zobaczysz, co ci odpowie! — rzekł do mnie Iwan Maciejowicz.

Co się mnie tyczy, to w tej chwili pałałem żądzą przedewszystkiem zbicia dotkliwie Niemca, powtóre zbicia jeszcze bardziej jego *mutter*, a po trzecie zbicia najbardziej i najdotkliwiej samego Iwana Maciejowicza za bezgraniczne jego samolubstwo. Ale wszystko to nic nie znaczyło w porównaniu z odpowiedzią chciwego Niemca.

Po naradzie ze swą *mutter*, zażądał on za swego krokodyla pięćdziesiąt tysięcy rubli w biletach ostatniej pożyczki wewnętrznej z loterją, kamienicy w ulicy Goro-

chowej i w niej własnej apteki i w dodatku stanowiska rosyjskiego pułkownika.

— Widzisz, — trjmfując zawołał Iwan Maciejowicz, — ja ci mówiłem! Z wyjątkiem ostatniego niedorzecznego żądania, by go zrobić pułkownikiem — ma zupełną słuszność, bo doskonale pojmuje obecną wartość pokazywanego przez siebie potwora. Ekonomiczna zasada przedewszystkiem!

— Zlituj się pan! — krzyknąłem wściekły do Niemca — i za cóż pan żąda „pagonów“ pułkownika? Jakiegoż to pan czynu bohaterskiego dokonałeś, czem zasłużyłeś się pan, jaką wojenną sławą się okryłeś? No, czy nie zawarował pan z tem wszystkim?

— Zwarjował! — krzyknął Niemiec obrażony. — Nie, ja szlowiek bardzo mądra, a pan durna! Ja zasłużył pułkownik, bo pokazał krokodyl, a w nim szywy hofrat siedział, a Moskał nie może pokazał krokodyl, coby w nim szywy hofrat siedział! Ja czerezwyczajnie mądra szlowiek i bardzo chcem być pułkownik!

— A więc żegnaj, Iwanie Maciejowiczu! — zawołałem, trzęsąc się z wściekłości, i pędem prawie wybiegłem ze sali.

Czułem, że jeszcze minuta i nie mógłbym już odpowiadać za siebie. Nieuzasadnione nadzieje tych dwóch bałwanów były nieznośne. Zimne powietrze, orzeźwiwszy mię trochę, uspokoiło moje nerwy. Wkońcu, splunąwszy energicznie z pietnaście razy w obie strony, wziąłem dorózkę, przyjechałem do domu, rozebrałem się i rzuciłem się na łóżko. Najbardziej złościło mnie to, że zostałem jego sekretarzem. Konaj tam teraz ze znużenia co wieczora, spełniając obowiązek prawdziwego przyjaciela! Gotów byłem sprać samego siebie za to, i rzeczywiście, już zgasiwszy świecę i nakrywszy się kołdrą, uderzyłem siebie kilka razy kulakiem po głowie i po innych czę-

ściach ciała. To trochę mi ulżyło i wkońcu zasnąłem nawet bardzo mocno, bo bardzo się zmęczyłem. Przez całą noc śniły mi się same tylko małpy, ale nad ranem przyśniła mi się Helena Iwanówna...

IV

Małpy, jak się domyślam, przyśniły mi się dlatego, bo były zamknięte w klatkach u Niemca; Helena Iwanówna zaś tworzyła osobny rozdział.

Powiem zawczasu: ja tę niewiastę kochałem; ale pośpieszam — i to pośpieszam kurjerem — wyjaśnić: kochałem ją jak ojciec, ni mniej ni więcej. A wnoszę tak z tego, że wielokrotnie opanowywała mnie nieprzewyciężona żądza, by ją pocałować w główkę lub w rumianą twarzyczkę. I chociaż nigdy nie doprowadzałem do urzeczywistnienia tego, lecz wyznaję ze skruchą, że nie broniłbym się nawet przed pocałowaniem jej i w gębusię. I nie tylko w gębusię, ale nawet i w ząbki, które zawsze tak kusząco się wystawiały, zupełnie jak nizanka przeduczonych, wybornych perełek, ilekroć się zaśmiała. A ona śmiała się dziwnie często. Iwan Maciejowicz nazywał ją w wypadkach pieszczotliwych swem „miłem głupstewkiem“ — miano w najwyższym stopniu usprawiedliwione i charakterystyczne. Była to niewiasta-cukierek i tyle. To też zupełnie nie pojmuję, dlaczego właściwie obecnie temu samemu Iwanowi Maciejowiczowi ubrdało się prze-fasonować swą żonę na rosyjską Eugenję Tours? W każdym razie sen mój, jeśli nie brać pod uwagę małp, wywarł na mnie najrozkoszniejsze wrażenie i porządkując sobie w głowie podczas porannej herbaty wszystkie zdarzenia dnia wczorajszego, postanowiłem natychmiast pójść do Heleny Iwanówny po drodze do biura, do czego zresztą byłem obowiązany w charakterze przyjaciela domu.

W małym pokoiku przed sypialnią, w tak zwanym u nich małym salonie, chociaż wielki ich salon także był mały, na małej, wytwornej otomanie, przy małym stoliku do herbaty, w jakiejś nawpół z powietrza utkanej porannej matince, siedziała Helena Iwanówna i z maleńkiej filiżanki, w której maczała maluśki cukiereczek, piła kawę. Była kusząco piękna. Zdawało mi się jednak, że także jakaś niby zamyślona.

— Ach, to pan, urwisię! — powitała mnie z uśmiechem roztargnienia. — Siadajże, sowizdrzale jeden, i pij kawę! No, cóżes pan wczoraj wyrabiał? Byłeś na balu maskowym?

— A pani była?... Przecie ja po balach nie jeżdżę, a nadto musiałem wczoraj odwiedzić naszego więźnia...

Westchnąłem i, popijając kawę, zrobiłem pobożną minę.

— Kogo?... Jakiego więźnia?... Ach, tak!... Biedaczek. No, cóż on — nudzi mu się? A wie pan... chciałam pana zapytać... Przecie ja mogę teraz starać się o rozwód?

— O rozwód! — zawołałem niemile dotknięty, — i omal że nie rozlałem kawy. — „To ten brunecik!“ pomyślałem wściekły.

Istniał pewien brunecik z wąsikami, który służył w odbudowie, a zbyt często odwiedzał ich i nadzwyczajnie umiał bawić Helenę Iwanównę. Przyznaję się, że go nienawidziłem i nie ulegało wątpliwości, że on to wczoraj zdołał już zobaczyć się z Heleną Iwanówną bądź na maskaradzie, bądź też, przepraszam, nawet tutaj i nagadał jej wszelakich bzdurstw!

— No, cóż, — rzekła śpiesznie Helena Iwanówna, zupełnie jakby wyuczona, — cóż, on będzie tam siedział w krokodylu, proszę pana, i całe życie nie przyjdzie, a ja tutaj mam czekać i czekać! Mąż powinien siedzieć w domu, a nie w krokodylu...

— Ależ to zdarzył się zupełnie nieprzewidziany wypadek, — zacząłem jej perswadować w zupełnie zrozumiałym zdenerwowaniu.

— Ach, nie, nie mów pan tego, nie chcę, nie chcę! — zawołała nagle zupełnie rozgniewana. — Wiecznie mi się pan sprzeciwiasz, jesteś pan niezdolny! Z panem nie do wytrzymania! Nigdy mi pan nie poradzi! Obcy nawet mi to mówią, że dostanę rozwód, bo Iwan Maciejowicz nie będzie już teraz pobierał swej pensji.

— Heleno Iwanówno! Czy to ja pani słowa słyszę! — zawołałem z patosem. — Co za łotr mógł to pani wmówić! Przecie rozwodu z takiego nieuzasadnionego powodu, jak pensja, dostać absolutnie nie można. A biedny, biedny Iwan Maciejowicz dla pani, że tak powiem, cały płonie miłością, nawet w brzuchu potwora. Co więcej — taje z miłości jak kawałeczek cukru. Świeżo jeszcze, wczoraj wieczorem, gdy pani tańczyła na balu maskowym, wspominał mi, że w ostatecznym razie może zdecydować się zamówić panią w charakterze prawowitej małżonki do siebie we wnętrzości krokodyla tem bardziej, że krokodyl okazał się dość przestronnym i doskonale pomieści nie tylko dwie, ale nawet i trzy osoby...

I w tem miejscu natychmiast jej opowiedziałem całą tę zajmującą część mojej wczorajszej rozmowy z Iwanem Maciejowiczem.

— Co, co! — krzyknęła zdumiona. — Pan chcesz, bym i ja także polazła tam, do Iwana Maciejowicza? Cóż to za wymysły! I jakże ja tam poleżę? Może jeszcze w czerwonej czapeczce i w żółtej krynolinie? Boże, cóż to za głupota! I jakież to widoki będą, gdy ja będę tam lazła, a na mnie jeszcze ktoś, proszę, będzie patrzył... Śmiech doprawdy! I co ja tam będę jadła?... I... i jak ja tam będę, jeśli mi się... ach, Boże, co oni obaj wymyślili!... I jakież tam są rozrywki?... Powiada pan, że pachnie

tam gumelastyką? I jakże ja — jeśli my się tam naprzykład pokłócimy — będę mimo to leżała obok niego? Fe, jakie to wstrętne!

— Zgoda, zgoda na wszystko, najdroższa Heleno Iwanówno, — przerwałem, dążąc do wypowiedzenia się z tą zrozumiałą satysfakcją, którą zawsze człowiek odczuwa, gdy czuje, że słuszność jest po jego stronie, — ale pani jednej rzeczy we wszystkim tem nie oceniła należycie, nie oceniła pani tego, że on widocznie żyć bez pani nie może, skoro wzywa panią tam do siebie; to znaczy, że kieruje nim miłość, miłość namiętna, wierna, pełna tęsknoty... nie oceniła pani miłości, droga Heleno Iwanówno, miłości!

— Nie chcę, nie chcę, ani słyszeć o niczem nie chcę! — opędzała się swą maleńką, śliczną rączką, na której błyszczały dopiero co wymyte i skóreczką wypolerowane, różowe paznokietki. — Brzydki człowiecze, pan mię doprowadzi do łez. Poleż pan sam, jeśli to panu wydaje się przyjemnem. Przecie pan jest jego przyjacielem, no niechże pan położy się tam obok niego z przyjaźni i dyskutujcie sobie całe życie o jakichś swych nudnych naukach...

— Daremnie się pani wyśmiewa i szydzi z tej propozycji, — poważnie wstrzymałem lekkomyślną kobietę, — Iwan Maciejowicz i bez tego wzywał mię do siebie. Oczywiście panią woła tam obowiązek, mnie zaś tylko wielkoduszność; lecz opowiadając mi wczoraj o niezwykłej rozciągliwości krokodyla. Iwan Maciejowicz napomknął bardzo wyraźnie, że nie tylko państwo oboje, ale nawet i ja, w charakterze przyjaciela domu, mógłbym się tam razem z wami pomieścić, we trójkę, zwłaszcza, jeśli bym tego zapragnął, i dlatego...

— Jakże to we trójkę! — zawołała Helena Iwanówna, patrząc na mnie zdumiona. — Więc jakże my... tak wszyscy troje będziemy mogli... tam razem? Cha-cha-cha!

Jacy wyście obaj głupi, cha-cha-cha! Jabym tam pana ciągle szczypała, brzydadu jeden, cha-cha-cha! Cha-cha-cha!

I padłszy na otomanę, rozchichotała się do łez. Wszystko to, i łzy i śmiech, razem było do tego stopnia urocze, że nie wytrzymałem i gorliwie rzuciłem się z pocałunkami ku jej rączce, czemu ona się nie sprzeciwiała, chociaż i wytargała mnie lekko, na znak pojednania, za uszy.

Następnie oboje wpadliśmy w dobry humor i ja szczegółowo opowiedziałem jej wszystkie wczorajsze plany Iwana Maciejowicza. Myśl o przyjęciach wieczornych i o otwartym salonie bardzo się jej podobała.

— Ale potrzeba będzie mnóstwa nowych tualet, — za uważyła, — i dlatego trzeba, by Iwan Maciejowicz przysłał możliwie najprędzej i możliwie najwięcej pieniędzy ze swej pensji... Tylko... jakże to — dodała w zamyśleniu, — jakże to będą go przynosili do mnie w naczyniu? Śmieszne to jest bardzo. Ja nie chcę, by męża mego nosili w naczyniu. Byłoby mi bardzo wstyd wobec gości... Ja nie chcę, nie, ja tego nie chcę...

— A propos, żebyś sobie nie zapomniał, czy był u pani wczoraj wieczorem Timofiej Siemionycz?

— Ach, był; przyjechał, by mię pocieszyć i pomyśl pan sobie, graliśmy z nim długo w karty. On stawiał cukry, a ile razy ja przegrałam — to on wycalowywał mi rączki. Taki niegodziwiec, i wyobraź pan sobie, omal nie pojechał ze mną na bal maskowy. Doprawdy!

— Oczarowała go pani! — wtrąciłem, — bo i kogoż pani nie potrafi oczarować, uwodzicielko!

— No, już pan znowu zaczynasz z pańskimi komplementami! Czekażże pan, ja uszczypnę pana na drogę. Okropnie dobrze wyuczyłam się teraz szczypać. No co, jak? Ale czy mówi pan prawdę, że Iwan Maciejowicz często o mnie wczoraj wspominał?

— Nie, tak żeby często, to nie... Przyznaję się pani, że myśli on raczej obecnie o losach całej ludzkości i chce...

— Zostaw go pan w spokoju, niech tam! Nie potrzebuje pan dopowiadać do końca! Nuda jest straszna, to prawda. Ja go jakoś odwiedzę. Z pewnością jutro pojedę. Tylko nie dziś: głowa mnie boli, a do tego będzie tam tak dużo publiczności... Powiedzą: to żona jego, będę się musiała wstydzić... Żegnaj pan. Wieczorem będzie pan... tam?

— U niego, u niego. Kazał mi przyjechać i przywieźć sobie gazety.

— No to dobrze. Pójdźże pan do niego i przeczytaj mu gazety. A do mnie dziś już proszę nie przyjeżdżać. Jestem niezdrowa, a może pojedę z wizytą. No, żegnaj, szalona głowo.

„To brunecik będzie u niej wieczorem“, pomyślałem w duchu.

W biurze, rozumie się, nie dałem nawet poznać po sobie, że mam tak okropne kłopoty i zmartwienia. Rychło jednak zauważyłem, że niektórzy z naszych postępowych dzienników jakoś szczególnie szybko podawali sobie z rak do rąk moi biurowi koledzy, a zwłaszcza koleżanki, i że każdy czytał je z nadzwyczaj poważnym wyrazem twarzy. Najpierw dostał mi się w ręce — „Listok“, dzienniczek bez wyraźnego kierunku, w rodzaju „ogólno-ludzkich“, — za co głównie nie lubiano go u nas, chociaż i czytano. Nie bez zdziwienia przeczytałem w nim, co następuje:

„Wczoraj w wielkiej i posiadającej wspaniałe budowle stolicy naszej rozeszły się bardzo dziwne pogłoski. Niejaki N., znany gastronom z wyższego towarzystwa, zdaje się, sprzykrzywszy sobie kuchnię w jadalni Borela i obiady w „Klubie sportowców“, wszedł w pasaży do tej sali, gdzie pewien przedsiębiorca pokazuje ogrom-

nego, świeżo do stolicy przywiezionego krokodyla, i zażądał, by mu go podano na obiad. Ugodziwszy się z gospodarzem co do zapłaty, wziął się natychmiast na miejscu do pożerania go (t. j. nie gospodarza, bardzo spokojnego i skłonnego do punktualności Niemca, tylko jego krokodyla) — żywcem jeszcze, odrzynając z niego soczyste kawałki szczyrykiem i połykając je z nadzwyczajnym pośpiechem. Stopniowo cały krokodyl znikł w jego dobrze odżywionym brzuchu, tak, że zabierał się on z kolei do ichneumona, stale towarzyszącego krokodylowi w podróży, prawdopodobnie w przypuszczeniu, że ichneumon też będzie równie smaczny. Nie jesteśmy przeciwni temu nowemu produktowi spożywczemu, dawno już dobrze znanemu gastronomom zagranicznym. Myśmy to już nawet przedtem przepowiadali. Angielscy lordowie i podróżnicy zazwyczaj łąpią w Egipcie krokodyle całemi partjami i używają grzbietu potworów w postaci bifsztyka z musztardą, cebulą i ziemniakami. Francuzi, zwłaszcza ci z ekspedycji Lessepce'a, wyżej sobie cenią odnóża, pieczone w gorącym popiele, co zresztą czynią na złość Anglikom, którzy sobie z nich podrwiają. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, znajdzie u nas uznanie i jedno i drugie. My ze swej strony, chętnie witamy tę nową gałąź przemysłu, którego przeważnie brak jest naszej silnej, różnoplemiennej ojczyźnie. W ślad za tym pierwszym krokodylem, który znikł we wnętrzościach petersburskiego smakosza, prawdopodobnie rok nawet nie minie, a przywiozą do nas drogą importu całe ich setki. Dlaczego właściwie nie mielibyśmy zaaklimatyzować krokodyla u nas w Rosji? O ile woda w Newie jest za zimna dla tych zajmujących mieszkańców obcych krajów, to w stolicy posiadamy dosyć stawów, a poza jej obrębem rzeczki i jeziora. Czyż nie możnaby hodowli

ich założyć naprzykład w Pargołowie lub w Pawłowskiu, lub w Moskwie w Prjesneńskich stawach i w Samociuku? Dostarczając przyjemnej i zdrowej strawy naszym wydelikacowanym gastronomom, mogłyby one równocześnie wzbudzać wesołość łódkujących się na tych stawach pań i służyć jako żywe okazy do nauki pogładowej dla kształcącej się w naukach przyrodniczych młodzieży szkolnej. Ze skóry krokodylej można wyrabiać futerały, walizki, papierośnice i teki, i może niejedna rosyjska kupiecka tysiącza w postaci zatłuszczonego biletu kredytowego, przeważnie poszukiwanego przez kupców, ulegałaby się w egzotycznym portfelu ze skóry krokodylej. Mamy nadzieję, że niejednokrotnie jeszcze powrócimy do tego zajmującego tematu“.

Co do mnie, to jakkolwiek przeczuwałem coś w tym rodzaju, niemniej jednak skonsternowała mnie wyrotowość tego artykułu. Nie mając z kim podzielić się wrażeniami, zwróciłem się do siedzącego naprzeciw mnie Prochora Sawicza i spostrzegłem, że ten dawno już bacznie mnie śledził oczami, a w ręku trzymał „Gołos“, jakby przygotowując się, by mi go podać. W milczeniu wziął odemnie „Listok“ i podając mi swój „Gołos“, mocno zakreślił paznokciem artykuł, na który chciał widocznie zwrócić moją uwagę. Ten Prochor Sawicz był w naszym biurze człowiekiem bardzo dziwnym: milczek, stary kawaler, z nikim z nas nie utrzymywał żadnych stosunków, prawie z nikim w biurze nie mówił, zawsze i o wszystkim miał swe własne zdanie, ale nie znosił tego, by się z kimkolwiek podzielić. Żył jak samotnik. W domu u niego prawie nikt nigdy z nas nie był.

Oto co wyczytałem we wskazanem miejscu w „Gołosie“:

„Wiadomo powszechnie, że jesteśmy postępowi i humanitarni i chcemy w tem prześcignąć Europę. Nie bacząc jednak na wszystkie nasze starania i wszystkie wysiłki pisma naszego, jesteśmy jeszcze zbyt niedojrzali, jak o tem świadczy dowodnie oburzający fakt, który miał miejsce wczoraj w pasażu, i który myśmy przedtem jeszcze przepowiadali. Przyjeżdża oto do stolicy cudzoziemiec, pomysłowy przedsiębiorca, i przywozi ze sobą krokodyla, którego wystawia na widok publiczny w pasażu. Myśmy pierwsi natychmiast pośpieszyli powitać tę nową gałąź pożytecznego przemysłu, którego przeważnie brak naszej silnej i różnoplemiennej ojczyźnie. Gdy nagle wczoraj, o wpół do piątej popołudniu, w lokalu cudzoziemca-właściciela zjawia się pewien jegomość, niezwykle gruby i w stanie nietrzeźwym, płaci za wstęp i natychmiast, bez najmniejszego uprzedzenia kogokolwiek o swym zamiarze, lezie w paszczę krokodyla, który, naturalnie, był zmuszony go połknąć, choćby tylko wiedziony instynktem samozachowawczym, by się nie udławić. Wwaliwszy się do wnętrza krokodyla, nieznajomy natychmiast zasypia. Ani krzyk samego cudzoziemca-właściciela, ani też jęki i płacze jego przerażonej rodziny, ani wreszcie groźby, że się wezwie interwencji policji, nie robią na nim najmniejszego wrażenia. Z wnętrza krokodyla słycać tylko rehot i szydercze pogroźki, na temat policzenia się różgami (sic!), a biedny ssawiec, którego zmuszono do przełknięcia takiej masy, napróżno leje swe łzy. Gość nieproszony gorszy jest od tatarskiej dzicy, powiada przysłowie, ale nie bacząc nawet na przysłowie, natręt nie myśli wyjść. Wprost brak słów, by napiętnować, jak należy, fakty podobnego barbarzyństwa, świadczące o naszej niedojrzałości kulturalnej i socjalnej i wystawiające nam bardzo smutne świadectwo w oczach cudzoziemców. Roz-

mach szerokiej rosyjskiej natury znalazł tu istotnie godne siebie zastosowanie. Pytamy, czego właściwie szukał ten nieproszony gość? Ciepłego i wygodnego pomieszkania z komfortem? Ależ w stolicy istnieje jeszcze dosyć wspaniałych domów i pomieszkań z wodociągami i z gazowem oświetleniem nawet na schodach. Zwracamy wreszcie uwagę naszych czytelników i na sam barbarzyński sposób obchodzenia się z domowymi zwierzętami: przejezdnemu krokodylowi, rzecz jasna, trudno jest teraz strawić taką masę odrazu i obecnie leży on, wzdęty jak góra, i w okropnych mękach oczekuje śmierci. W Europie dawno już ściga się sądownie tych, którzy się znęcają nad zwierzętami domowymi. Pomimo jednak całe europejskie oświecenie, europejskie trotuary, europejski wygląd naszych domów, nowo zbudowanych, dużo jeszcze wody upłynie, zanim się pozbędziemy naszych odwiecznych przesądów. Domy są nowe, ale przesady stare.“

— Co to jest? — rzekłem, patrząc na Prochora Sawicza i nie pojmując dobrze, — cóż to takiego?

— A co?

— No, proszę, zamiast uzalić się nad Iwanem Maciejowiczem, rozwodzą swe żale nad krokodylem.

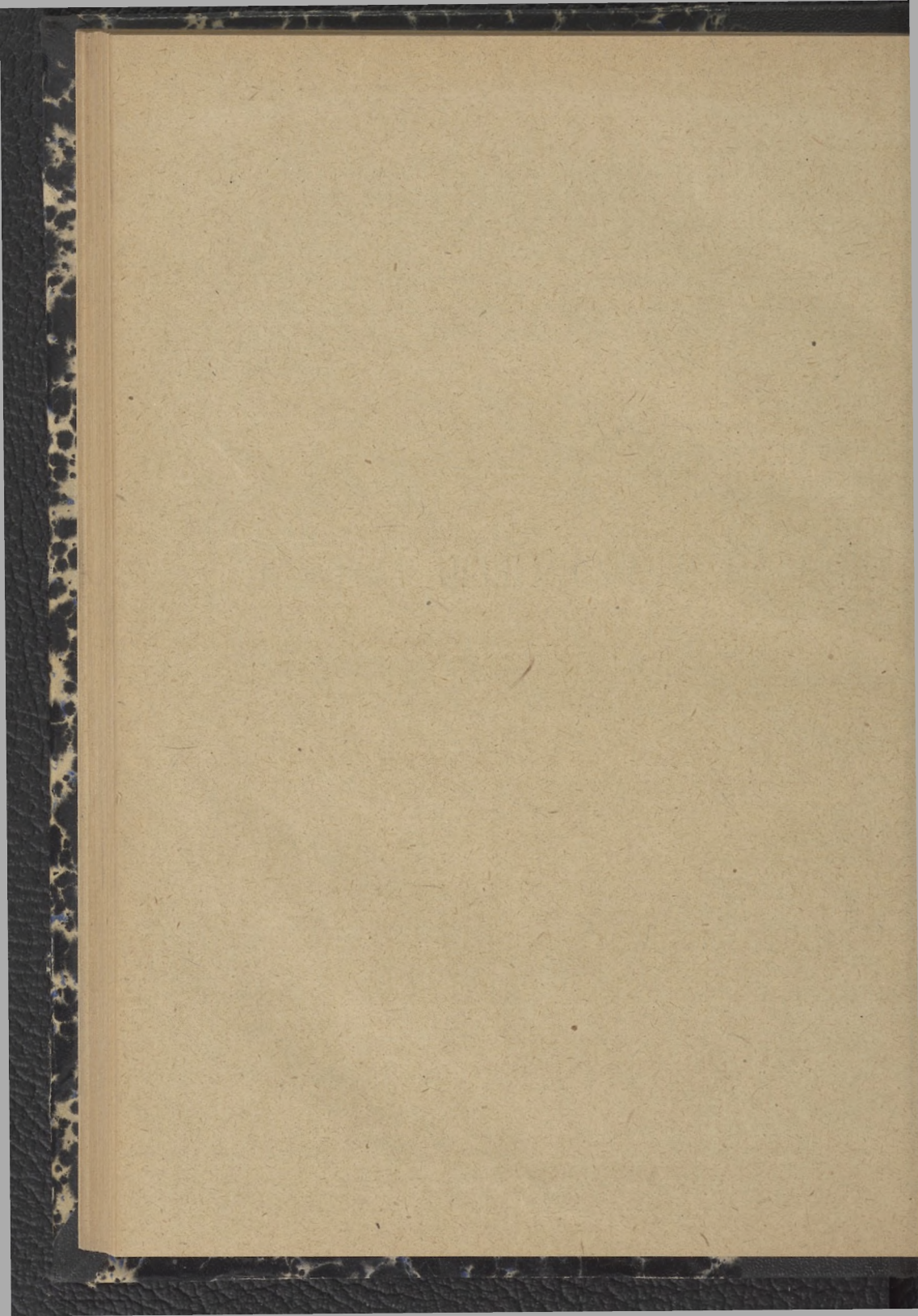
— Cóż? Zwierzęcia nawet, *ssawca*, żałują. Może nie Europa u nas? Tam także bardzo żałują krokodyli. Chi-chi-chi!

Rzekłszy to, dziwak Prochor Sawicz zagłębił się w swych aktach i nie odezwał się więcej ani słowem.

„Gołos“ i „Listok“ schowałem do kieszeni, prócz tego uzbierałem dla Iwana Maciejowicza na wieczór stare „Izwiestja“ i „Gołosy“, ile tylko mogłem, i chociaż do wieczora było daleko jeszcze, tym razem jednak wcześniej wysliznałem się z biura, by pójść do pasażu i zdaleka bodaj popatrzeć, co się tam dzieje, podsłuchać

różne zdania i przekonania. Przeczuwałem, że będzie tam cały tłum, więc na każdy wypadek podniosłem kołnierz płaszcza do góry i starannie ukryłem w nim swą twarz, bo czemuś było mi trochę wstyd, do tego stopnia nie jesteśmy przyzwyczajeni do publiczności. Czuję jednak, że nie mam prawa opisywać swe własne, prozaiczne uczucia wobec tak znamienitego i oryginalnego zdarzenia.

ROMANS W DZIEWIĘCIU LISTACH



(Od Piotra Iwanowicza do Iwana Piotrowicza)

Szanowny Panie i nieoceniony druhu mój, Iwanie Piotrowiczu!

Trzeci dzień już mija, od kiedy, że tak powiem, uganiam zapanem, nieoceniony mój druhu, aby pomóc z panem o bardzo ważnej sprawie, i nigdzie nie mogę pana złapać. Żona moja wczoraj, gdyśmy byli w odwiedzinach u Siemiona Aleksandrowicza, bardzo trafnie wyraziła się żartem o panu, mówiąc, że z pana i Tacjany Piotrówny jest sobie taka parka, która nigdzie miejsca nie zagrzeje. Niema jeszcze trzech miesięcy, jak się pan ożenił, a już zaniedbuje pan swe domowe penaty. Wszyscyśmy się śmiali, — rozumie się, pełni szczerzej naszej życzliwości dla was, — lecz, bez żartu, nieoceniony mój, sprawił mi pan kłopot. Powiada mi Siemion Aleksandrowicz, że pan musi być w klubie Zjednoczonych Towarzystw na balu. Zostawiam żonę u małżonki Siemiona Aleksandrowicza, a sam pędzę do klubu Zjednoczonych Towarzystw. Śmiech i wstyd! Przedstaw pan sobie moje położenie: ja na bal — i to sam, bez żony! Iwan Andrzejowicz, spotkawszy się ze mną w garderobie, i widząc mnie samego, natychmiast posądził mnie (hultaj!) o niezwykłą namiętność do wieczorków z tańcami i, ująwszy mnie pod ramię, chciał już gwałtem uprowadzić do pewnego *varieté*, mówiąc, że w klubie Zjednoczonych To-

warzystw jest mu zbyt ciasno, że jego młodzieńcza dusza nie ma się tam gdzie rozprzestrzenić i że go już głowa boli od tej paczuli z rezedą. Nie znajduję ani pana, ani Tacjana Piotrówny. Iwan Andrzejowicz zapewnia mnie i przysięga się, że pan z pewnością poszedł na „Nieszczęście z rozumu“ do Aleksandrowskiego teatru.

Lecę do Aleksandrowskiego teatru: tam pana także niema. Dziś rano spodziewałem się pana znaleźć u Czystoganowa, — ale gdzie tam. Czystoganow posyła do Perepałkinów — znowu napróżno. Krótko mówiąc, zmęczyłem się okropnie; sam pan widzi, ile straciłem energii! Teraz używam drogi listownej do pana (bo co mam począć?) Sprawa moja wcale nie jest natury literackiej (pan mnie rozumie); byłoby lepiej załatwić ją w cztery oczy, koniecznie musimy pewne rzeczy wyjaśnić i to możliwie najprędzej, i dlatego proszę pana wraz z Tacjaną Piotrówną dzisiaj do siebie na herbatę i na wieczorną rozmowę. Moja Anka bardzo się ucieszy waszą wizytą. Doprawdy, jak to mówią, dozgonnie będziemy wam wdzięczni. A propos, nieoceniony przyjacielu, — jeśli sprawa doszła już do listu, to mówmy wyraźnie, — widzę się zmuszonym już teraz wytoczyć panu po części proces i nawet uczynić panu wyrzut, szanowny przyjacielu, za pewną, pozornie bardzo niewinną, sprawkę, którą pan zupełnie niewcześnie zażartowałeś sobie ze mnie... Jesteś pan gałganem i człowiekiem niesumiennym! W połowie ubiegłego miesiąca wprowadza pan do mego domu jednego ze swych znajomych, a mianowicie Eugenjusza Mikołajewicza, ręczy pan za niego swą przyjacielską i dla mnie, rozumie się, świętą rekomendacją; jestem ucieszony ze spotkania, przyjmuję młodego człowieka z otwartymi ramionami i równocześnie, jak się pokazuje, kręcę sam stryczek na sobie. Stryczek nie stryczek, ale wynikła ładna historia, niema co mówić. Nie czas teraz

na bliższe wyjaśnienia, zresztą w liście niebardzo to i wygodnie, mam jednak pokorną prośbę do pana, złośliwy druhu i przyjacielu: czy nie możnaby jakimś sposobem, delikatnie, nawiasem, na ucho, cichuteńko, szepnąć pańskiemu młodemu człowiekowi, że jest przecie w stolicy dużo domów oprócz naszego? Brak mi już cierpliwości, ojczaszku! Padamdonóg, jak mawia nasz wspólny przyjaciel Szymoniewicz. Skoro się zobaczymy, opowiem panu wszystko dokładnie. Nie w tem znaczeniu mówię, jakoby młody człowiek nie podobał mi się naprzykład z fasonu lub z zalet duchowych, albo zawiódł w czemśkolwiek tam innym. Przeciwnie, jest to chłopak wcale, wcale miły i ugrzecznony; bądź pan jednak cierpliwy aż do osobistego widzenia się; a tymczasem, jeśli go pan spotka, to niechże mu pan, łaskawco, szepnie to na ucho, zaklinam na Boga. Jabym to i sam uczynił, ale wie pan, jaką mam naturę: nie mogę i basta. Przecie to pan mi go poleciłeś. Zresztą wieczorem, w każdym razie, wyjaśnimy szczegółowo wszystko. A teraz do widzenia! Łączę wyrazy, i t. d.

P. S. Mój mały już tydzień cały niedomaga, i z każdym dniem jest mu gorzej. Cierpi na ząbki, które mu się wykluwają. Żona nie spuszcza go z rąk i martwi się biedaczka. Proszę przyjechać. Naprawdę sprawi nam pan wielką radość, nieoceniony druhu.

II

(Od Iwana Piotrowicza do Piotra Iwanowicza)

Szanowny Panie, Piotrze Iwanowiczu!

Otrzymałem wczoraj list pański, czytam i nie pojmuję. Szuka mnie pan, Bóg wie po jakich miejscach, a ja pro prostu byłem w domu. Do godziny 10-tej oczekiwałem

Iwana Iwanowicza Tałakonowa. Natychmiast biorę żonę, najmuję fiakra, robię sobie wydatki i przyjeżdżam do pana około pół do siódmej. Pana niema w domu, przyjmuje nas żona pańska. Czekam na pana do wpół do jedenastej; dłużej czekać nie można. Zabieram żonę, ruję się, bo najmuję fiakra, odwożę ją do domu, a sam udaję się do Perepałkinów, sądząc, że może tam pana spotkam, lecz znowu zawodzą mnie moje rachuby. Przyjeżdżam do domu, całą noc nie śpię, pełen niepokoju, rano jadę do pana za trzema nawrotami o godzinie 9-tej, 10-tej i 11-tej, trzykrotnie narażam się na wydatek, płacę fiakry, i znowu zostawia mnie pan z długim nosem.

Czytając zaś list pański, byłem zdziwiony. Pisze pan o Eugenjuszu Mikołajewiczu, prosi pan, by mu szepnąć na ucho, nie wspominając zupełnie, dlaczego. Chwalebna jest ostrożność pańska, ale papier papierowi nie równy, ja zaś papierów potrzebnych nigdy nie daję żonie na papiloty. Nie pojmuję wkońcu, w jakim znaczeniu raczyłeś pan wszystko to mi napisać. Zresztą, jeśli o to idzie, to pocóż mnie mięszać w tę sprawę? Nie mam zwyczaju pchać nosa do cudzego trzosa. Wymówić sobie dalsze bywanie mógł pan i sam; widzę tylko, że wszelkie wyjaśnienia między nami należy załatwić krócej, bardziej stanowczo, a przytem i czas uchodzi. Ja zaś jestem skrępowany, i nie wiem, co wypadnie mi uczynić, jeśli pan będzie sobie lekceważył nasze umowy. Przedemną droga, każda podróż kosztuje, a tu mi jeszcze żona mógł świdruje: „spraw mi jedwabny płaszczyk na drogę, taki modny“. Co się zaś tyczy Eugenjusza Mikołajewicza, pośpieszam panu donieść: nie tracąc czasu, zasięgnąłem wczoraj ostatecznych informacji o nim, podczas swej bytności u Pawła Siemionycza Perepałkina. Ma on swoich 500 dusz chłopskich w jarosławskiej gubernji, i w dodatku zanosi się na to, że od swojej babci otrzyma wio-

skę pod samą Moskwą, a w niej jeszcze dusz 300. Jaką gotówkę posiada, nie wiem, sądzę jednak, że pan będzie to wiedział lepiej odemnie. Proszę mi definitywnie oznaczyć miejsce widzenia. Spotkał pan wczoraj Iwana Andrzejewicza i pisze pan, że uwiadomił on pana, jakobym był wraz z żoną w Aleksandrowskim teatrze. Ja zaś zaznaczam tu pisemnie, że on łąże, i że nie należy mu tembardziej wierzyć na przyszłość, bo nie dawniej jak przedwczoraj, naciągnął on swoją pocziwą babkę na osiemset rubli w gotowiznie. Mam zaszczyt polecić się łaskawej pamięci.

P. S. Żona moja zaszła w ciążę; na dobytek jest ona z natury skłonna do przestachu i w owym czasie jest w melancholijnym nastroju ducha. A do teatralnych widowisk niekiedy wprowadzane bywają strzały i sztucznie wywołane grzmoty. I dlatego, obawiając się, by się żona nie przestraszyła, nie włóczę jej po teatrach. Sam zaś także nie mam wielkiej ochoty ucześnieć na przedstawienia.

III

(Od Piotra Iwanowicza do Iwana Piotrowicza)

Nieoceniony druhu mój, Iwanie Piotrowiczu!

Moja wina, moja wina, moja to wielka wina, śpieszę jednak z usprawiedliwieniem: Wczoraj między 5-ą a 6-ą, właśnie w tym samym czasie, gdyśmy z niekłamaną serdecznością rozmawiali o panu, zjawił się umyślny posłaniec od wujaszka Stefana Aleksandrowicza z wiadomością, że z ciotką źle. Nie chcąc żony przerazić, nie mówię jej ani słowa i pod pretekstem konieczności załatwienia ważnej sprawy postronnej jadę do domu ciotki. Zastaję ją ledwie żywą. Punktualnie o godzinie 5-ej miała atak

apoplektyczny, już trzeci z rzędu w ciągu dwóch lat. Karol Teodorowicz, ich lekarz domowy, skonstatował, że ciotka może nawet nie dożyje do rana. Przedstaw pan sobie moje położenie, przyjacielu drogi. Całą noc czuwałem, pełen trosk i zmartwień! Dopiero rano, z wyćięczenia sił i zgnębiony niemocą zarówno ciała jak ducha, położyłem się u nich na otomanie, zapomniałem powiedzieć, by mnie obudzono na czas i ocknąłem się dopiero o wpół do 12-ej. Cioteczka ma się lepiej. Jadę do żony; ona, biedna, aż schudła, czekając na mnie. Przekąsiłem coś naprędce, popieściłem malca, wyperswadowałem żonie urojenia i wybrałem się do pana. Niema pana w domu. Zastaję jednak u pana — Eugenjusza Mikołajewicza. Wracam do domu, biorę atrament i pióro. i oto piszę do pana. Nie utyskuj pan i nie sierz się na mnie, serdeczny mój. Zbij mnie pan, urwij mi głowę, jeśli zawiniła, lecz nie pozbawiaj mnie pan na przyszłość swej życzliwości. Od żony pańskiej dowiedziałem się, że będzie pan wieczorem u Sławianowów. Przyjdę więc tam napewno. Z ogromną niecierpliwością czekam pana. A tymczasem pozostaję i t. d.

P. S. Malec nasz przyprawia nas o prawdziwą rozpacz. Karol Teodorowicz zapisał mu rumbarbarum. Jęczy, wczoraj nikogo nie poznawał. Dziś oprzytomniał, już poznaje i ciągle świegoce tia-tia, ma-ma, bu-bu... Żona płacze całe rano.

IV

(Od Iwana Piotrowicza do Piotra Iwanowicza)

Szanowny mój panie, Piotrze Iwanowiczu!

Piszę do pana w pańskim pokoju, na pańskim biurku; przedtem zaś, nim wziętem za pióro, naczekałem się na

pana przeszło dwie i pół godziny. Pozwól mi pan teraz, Piotrze Iwanowiczu, powiedzieć sobie wprost i otwarcie, co sędzę o tej szkaradnej okoliczności. Z pańskiego ostatniego listu wnoszę, że pana oczekują u Sławianowów, wzywa mnie pan do nich, ja się stawiłem, siedzę pięć godzin, a pana jak nie było, tak niema. Cóż, czy ja jestem na to, by sobie kpić ze mnie, czy jak pan uważa? Za pozwoleniem, panie szanowny... Przychodzę rano, w nadziei, że pana zastanę i wcale nie naśladując takim manewrem pewnych stale zwodzających osób, mających zwyczaj poszukiwania ludzi, Bóg wie gdzie i po jakich spelunkach, skoro można ich zastać w domu o każdej, przyzwyczajonej wybranej porze. W domu nie było nawet pańskiego ducha. Nie wiem, co mnie hamuje, by nie powiedzieć panu całej nagiej, i ostrej prawdy. Powiem panu tyle tylko, że, jak widzę, pan się cofa z platformy naszych z góry ułożonych warunków. I teraz dopiero, zastanawiając się nad tą całą sprawą, nie mogę nie przyznać, że stanowczo dziwi mnie chytry kierunek pańskiej umysłowości. Widzę teraz jasno jak na dłoni, że nieprzyjemne swe zamiary żywiłeś pan już oddawna. Na dowód zaś, że przypuszczenie moje jest słuszne, mogę przytoczyć to, że pan jeszcze w ubiegłym tygodniu, wcale niedopuszczalnym sposobem, zabrałeś to swoje pismo, do mnie adresowane, w którym pan sam ustaliłeś, jakkolwiek dość niejasno i bez związku, nasze warunki, co się tyczy wiadomej panu okoliczności. Boi się pan dokumentów, niszczy je pan, i robi pan ze mnie durnia. Ale ja durnia z siebie robić nie pozwolę, bo dotychczas nikt mnie za takiego nie uważał, i wszyscy, jeśli o to idzie, odnosili się do mnie pod tym względem zupełnie poprawnie. Otwierają mi się oczy. Zbija mnie pan z tropu, tumani mnie pan Eugenjuszem Mikołajewiczem, a gdy ja, z niezrozumiałym dotychczas listem pańskim z daty siódmego b. m.,

szukam sposobności, by wyjaśnić między nami, co potrzeba, pan naznaczasz mi fałszywe widzenia, a sam się ukrywasz. Czy nie myśli pan czasem, panie szanowny, że ja się na tem wszystkim absolutnie nie połąpię? Przyrzeka pan, że mnie pan wynagrodzi za moje, bardzo dobrze wiadome panu usługi w materji polecenia panu różnych osobistości, a tymczasem, niewiadomo w jaki sposób, urządza się pan tak, że sam pan bierze moje pieniądze bez pokwitowania, i to w znacznych sumach, co się zdarzyło nie dawniej, jak w ubiegłym tygodniu. Obecnie zaś, wzięwszy pieniądze, ukrywa się pan, i jeszcze wypiera się pan usług, wyświadczonych panu przezemnie odnośnie do Eugenjusza Mikołajewicza. Liczy pan może na mój rychły odjazd do Symbirska i sądzi pan, że nie zdążymy z panem związać swych końców. Lecz ja oświadczam panu uroczyście i pod uczciwem słowem honoru, że jeśli o to idzie, to gotów jestem umyślnie jeszcze całe dwa miesiące mieszkać w Petersburgu, a swego dopnę, cel osiągnę i pana odszukam. My także czasami potrafimy działać na przekór. W konkluzji oświadczam panu, że jeśli pan dzisiaj jeszcze nie da mi zadowolających wyjaśnień, najpierw listownie, następnie zaś osobiście, oko w oko, i nie ustali pan w swym liście nanowo wszystkich głównych warunków, jakie istniały między nami, i nie wyjaśni mi pan ostatecznie, co właściwie myśli pan o Eugenjuszu Mikołajewiczu, to będę zmuszony przedsięwziąć środki bardzo dla pana nieprzyjemne, i nawet mnie samemu niesympatyczne.

Kreślę się i t. d.

V

(Od Piotra Iwanowicza do Iwana Piotrowicza)

11 listopada.

Drogi, zacny druhu mój, Iwanie Piotrowiczu!

Do głębi duszy swej byłem rozgoryczony pańskim listem. Czy nie wstyd panu było, mój drogi, lecz niesprawiedliwy druhu, postępować tak z kimś, kto panu przecie tak dobrze życzy. Zbyttno się pośpieszyć, nie wyjaśnić całej sprawy i wkońcu skrzywdzić mnie takimi obrażającymi podejrzeniami? — Śpieszę jednak z odpowiedzią na pańskie oskarżenia. — Nie zastałeś mnie pan wczoraj dlatego, bo znowu mnie, i to zupełnie niespodzianie, wezwano do łoża umierającej. Cioteczka Eutymja Mikołajówna oddała Bogu ducha wczoraj wieczorem o godzinie jedenastej po północy. Jednogłośnie, z wyboru krewnych, zostałem mistrzem całej tej bolesnej i smutnej ceremonii. Miałem tyle do załatwienia, że dziś rano nie zdołałem się z panem zobaczyć, ani nawet nie mogłem pana uwiadomić o niczem, chociażby tylko w kilku słowach. Z całej duszy ubolewam nad nieporozumieniem, wynikłem między nami. Słowa moje o Eugenjuszu Mikołajewiczu, wypowiedziane przezemnie żartem i mimochodem, wziął pan zupełnie opacznie, nadając całej sprawie głęboko obrażające mnie znaczenie. Wspomina pan o pieniądzach i daje pan wyraz swemu o nie niepokojowi. Ależ ja, zupełnie bez wykrętów, gotów jestem zadość uczynić wszelkim pańskim życzeniom i żądaniom, jakkolwiek tu, mimochodem, nie mogę panu nie przypomnieć, że pieniądze, 350 rubli w srebrze, wziąłem u pana w ubiegłym tygodniu na wiadomych warunkach, nie zaś jako pożyczkę. W ostatnim bowiem wypadku z pewnością rozporządzałyby pan pokwitowaniem. Nie będę się zniżał do wyjaśnień co do wszystkich innych punktów,

zaznaczonych w pańskim liście. Widzę, że jest to nieporozumienie, dopatruję się w tem zwykłej u pana gorączkowości, nierozwagi i otwartości. Wiem, że dobroduszość i otwarty charakter pański nie pozwolą, by w sercu pańskim nadal gnieździło się zwątpienie i że pan sam wkońcu wyciągnie do mnie pierwszy dłoń do zgody. Pomyliłeś się pan, Iwanie Piotrowiczu, krańcowo się pan pomyliłeś!

Nie bacząc na to, że list pański głęboko mnie dotknął, gotów byłbym pierwszy, i to zaraz dzisiaj, zjawić się u pana z przyznaniem się do winy, znajduję się jednak w takich kłopotach od wczoraj, że jestem formalnie zabity i ledwie się trzymam na nogach. Na domiar moich nieszczęść, żona położyła mi się do łóżka; obawiam się poważnej choroby. Co się zaś tyczy mego malca, to jest mu, chwała Bogu, lepiej. Ale rzucam już pióro... Odwołują mnie sprawy, a jest ich ogromna masa. Racz pan, nieoceniony druhu mój, przyjąć, i t. d.

VI

(Od Iwana Piotrowicza do Piotra Iwanowicza)

14 listopada.

Szanowny mój panie, Piotrze Iwanowiczu!

Przeczekałem trzy dni; starałem się spędzić je pożytecznie, — a równocześnie, odczuwając, że uprzejmość i przyzwoitość są największą każdego człowieka ozdobą od ostatniego listu pańskiego z dnia 10 bm. nie przypominałem się panu ni słowem, ani też czynem, po części dlatego, by dać panu możliwość spełnienia bez przeszkody chrześcijańskiej powinności wobec pańskiej cioteczki, po części zaś dlatego, bo potrzebowałem czasu dla zasiągnięcia pewnych informacji i przeprowadzenia badań we wiadomej

sprawie. Obecnie zaś śpieszę, by między nami wyjaśnić, co potrzeba, ostatecznie i stanowczo.

Przyznaję się panu szczerze, że czytając pierwsze dwa listy pańskie, naprawdę myślałem, że pan nie rozumie, czego ja chcę; oto dlaczego najbardziej szukałem widzenia z panem i rozmowy oko w oko, bałem się pióra i zarzucałem sobie niejasność stylu i wyrażania swych myśli na papierze. Wiadomo panu, że brak mi wychowania i dobrych manier, a zbędnej wytworności się wystrzegam, bo gorzkie doświadczenie nauczyło mnie wkońcu, jak dalece kłamliwy bywa niekiedy wygląd zewnętrzny i że pod kwieciami często czai się żmija. Pan mnie jednak dobrze rozumiałeś; a nie odpowiedział mi pan tak, jak należy, dlatego, bo we wiarołomności duszy swej zawczasu postanowiłeś pan złamać swe słowo honoru i dopuścić się zdrady istniejących między nami, przyjacielskich stosunków. Najzupełniej dowiódł pan tego swym haniebnym zachowaniem się wobec mnie w ostatnich dniach, zachowaniem wysoce szkodliwym dla mych interesów, czego wcale nie oczekiwałem i w co wprost wierzyć nie chciałem do ostatniej chwili, bo wprowadzony w błąd na samym początku naszej znajomości pańskimi mądrymi manierami, subtelnością pańskiego zachowania się, znajomością spraw i korzyścią, wynikającą dla mnie z obcowania z panem, przypuszczałem, że znalazłem prawdziwego druha, przyjaciela i człowieka prawdziwie mi przychylnego. Obecnie zaś jasno poznałem, że jest, niestety, wiele ludzi, ukrywających pod wejrzeniem mamiącym i przywoitem truciznę w swem sercu, używających swego rozumnego sprytu do urządzania kawałów swoim bliźnim i do niedozwolonych oszustw, i dlatego lękających się pióra i papieru, a równocześnie używających stylu swego nie na użytek bliźniego i ojczyzny, lecz celem uśpienia i zatumanienia rozsądku tych, którzy

weszli z nimi w rozmaite interesa i stosunki. Wiarołomstwo zaś pańskie, mój panie szanowny, wobec mnie, można poznać wyraźnie z tego, co następuje.

Przedewszystkiem, gdy w jasnych i niedwuznacznych wyrażeniach listu swego przedstawiałem panu swe położenie, a równocześnie zapytywałem pana w pierwszym swem piśmie, co pan chce rozumieć pod niektórymi wyrażeniami i zamiarami pańskimi, zwłaszcza wobec Eugenjusza Mikołajewicza, to pan po większej części starał się milczeć i zaniepokoiwszy mnie raz podejrzeniami i wątpliwościami, spokojnie uchylił się od wyjaśnień. Następnie, dopuściwszy się w stosunku do mnie różności, których nawet nazwać przyzwoicie nie można, zaczął pan pisać, że czuje pan żal do mnie. Jak to nazwać, mój panie? Później, gdy każda chwila była dla mnie droga i gdy zmusił mnie pan do uganiania się za panem po całym obszarze stolicy, pisał mi pan pod pozorem przyjaźni listy, w których z rozmysłem przemilczając samą sprawę, rozwodził się pan o rzeczach całkowicie postronnych; a mianowicie o chorobach swej żony, którą, w każdym razie, považam, i o tem, że pańskiemu malcowi zaordynowano rumbardum, i że dostał on pierwszy ząbek. O wszystkim tem wspominał pan w każdym swoim liście z systematycznością wstrętną i wprost mnie obrażającą. Naturalnie mogę się zgodzić z tem, że cierpienia rodzzonego dziecka krwawią duszę ojca, pocóż jednak wspominać o tem wtedy, gdy potrzeba było zupełnie czegoś innego, bardziej koniecznego i zajmującego. Długo milczałem i cierpiałem, teraz zaś, gdy przeszła właściwa pora, uważam za swój obowiązek jasno się rozmówić. Wkońcu, kilkakrotnie, w swej wiarołomności, wywiódłszy mnie w pole fałszywem oznaczaniem widzeń, kazał mi pan, widocznie, grać rolę pańskiego błazna i pocieszyciela, do której nigdy nie miałem najmniejszej ochoty.

Wreszcie, znowu uprzednio wezwawszy mnie do siebie, i oszukawszy jak zwykle, uwiadamia mnie pan, że odwołano pana do cierpiącej ciotki, która dostała ataku apoplektycznego punktualnie o godzinie 5 ej, tłumacząc się w ten sposób znowu ze skandaliczną punktualnością. Na moje szczęście, mój panie szanowny, w ciągu tych trzech dni zdołałem zasięgnąć informacji i tą drogą ustaliłem, że ciotkę pańską trafiło to jeszcze dnia poprzedniego między 7-mą a 8-mą, na parę godzin przed północą. W tym wypadku widzę, że nadużyłeś pan świętości stosunków rodzinnych do oszukiwania ludzi zupełnie postronnych. Nakoniec, w ostatnim swym liście wspomina pan i o śmierci swej krewnej, rzekomo zmarłej właśnie o tej samej porze, w której ja miałem jawić się u pana na naradę dla załatwienia wiadomych panu interesów. Tu jednak haniebność rachub i zmyśleń pańskich staje się wprost już nieprawdopodobną, bo wedle zupełnie wiarygodnych informacji, szczęśliwym trafem znowu przypadkowo zasiągniętych i a propos i co do czasu, dowiedziałem się, że ciotka pańska pożegnała się z doczesnością równo o całą dobę później od bezbożnie oznaczonego w liście pańskim terminu jej skonu. Doprawdy, nigdy chyba nie skończyłbym, jeślibym chciał wyliczać wszystkie dowody pańskiej wiarołomności w stosunku do mnie. Dla obiektywnego badacza wystarczy już to samo, że w każdym swym liście mianuje mnie pan swym serdecznym przyjacielem i obsypuje mnie pan uprzejmymi tytułami, co czynił pan, sądzę, nie w innym celu, tylko dlatego, by uspić moją czujność.

Przystąpię obecnie do głównego pańskiego oszustwa i wiarołomstwa wobec mnie, tkwiących mianowicie: w milczeniu bez przerwy w ostatnim czasie o tem wszystkim, co się tyczy naszego wspólnego interesu, o bezbożnem zeskamotowaniu pisma, w którym jakkolwiek

niewyraźnie i nie bardzo dla mnie zrozumiale, sformułował pan nasze obopólne warunki i ugodę; w barbarzyńskim, przymusowem pożyczeniu odemnie 350 rubli w srebrze, bez pokwitowania, zaciągniętem u mnie jako u pańskiego współnika; i w końcu, w haniebnem oszczerstwie, rzuconem na naszego wspólnego znajomego, pana Eugenjusza Mikołajewicza. Widzę teraz jasno, że chciałeś pan dowieść mi, że z niego, — pozwoli pan, że się tak wyrażę, — jak z kozła, nie będzie ani mleka, ani sierści, i że sam on jest ni tem ni owem, nito rybą, nito mięsem, co też poczytuje mu pan za złe w liście swym z 6-go b. m. Ja zaś znam Eugenjusza Mikołajewicza jako młodzieńca skromnego i dobrze ułożonego, czem właśnie może on zawsze wyrzucić dobre wrażenie i zyskać i zasłużyć na szacunek świata. Wiadomo mi także, że pan każdego wieczora, w ciągu całych dwu tygodni, odkładał do swej sakiewki po kilkadziesiąt, a czasami nawet po kilkaset rubli w srebrze, zgrywając Eugenjusza Mikołajewicza w krótkiego i w nasze-wasze. Teraz zaś wypiera się pan tego wszystkiego i nie tylko nie zdradza pan najmniejszej ochoty do odszkodowania mnie za me cierpienia, ale nawet przywłaszczył pan sobie bezpowrotnie moje własne pieniądze, zwiódłszy mnie uprzednio awansowaniem na pańskiego współnika i rozłakomiwszy mnie rozmaitemi korzyściami, rzekomo na mnie przypadającymi. A przywłaszczywszy sobie obecnie sposobem bezprawnym pieniądze moje i Eugenjusza Mikołajewicza, uchyla się pan od wynagrodzenia mnie, używając w tym celu oszczerstwa, którem oczernił pan nierozważnie w mych oczach osobistość, którą ja wyłącznie własnymi staraniami i własnym wysiłkiem wprowadziłem do pańskiego domu. Ale sam pan, owszem, wedle relacji przyjaciół naszych, dotychczasomal nie całuje się z nim w pyski i przedstawia go pan całemu światu, jako swego

najserdeczniejszego przyjaciela, nie bacząc na to, że w świecie nie znajdzie pan takiego durnia ostatniego, któryby od razu nie odgadł, do czego zdążają wszystkie pańskie przedsięwzięcia i co znaczy w gruncie rzeczy nawiązywanie przez pana przychylnych i przyjacielskich stosunków z ludźmi. Twierdzę, że oznaczają one oszustwo, wiarołomstwo, lekceważenie wszelkiej przyzwoitości i praw człowieka, a wszystko to grzeszne i wołające o pomstę do nieba. Siebie samego stawiam jako przykład na to i dowód. Czemu ja pana skrzywdziłem i za co pan postąpił ze mną w taki bezbożny sposób?

Kończę list. Rozmówiłem się. A teraz konkluzja: jeśli pan, panie szanowny, w najkrótszym czasie po otrzymaniu tego listu nie zwróci mi w całości: 1) wręczonej panu kwoty 350 rubli w srebrze i 2) wszystkich należnych mi wedle pańskiego przyrzeczenia kwot, to zastosuję wszystkie możliwe środki, by pana zmusić do ich oddania nawet przy otwartem użyciu siły; powtóre, użyję ochrony ustawowej i wkońcu oświadczam panu, że dysponuję pewnymi dowodami pisemnymi, które, znajdując się w rękach pańskiego uniżonego sługi i wyznawcy, mogą pana zgubić i okryć hańbą nazwisko pańskie w oczach całego świata.

Racz pan przyjąć i t. d.

VII

(Od Piotra Iwanowicza do Iwana Piotrowicza)

15 listopada.

Iwanie Piotrowiczu!

Otrzymałszy pańskie, z chłopska ordynarne, i równocześnie dziwne pismo, w pierwszej chwili chciałem je porwać na kawałki, — schowałem je jednak jako unikat.

Zresztą, serdecznie żałuję, że między nami wynikły nieporozumienia i nieprzyjemności. Odpowiadać panu nie chciałem. Ale zmusza mnie do tego konieczność. A mianowicie muszę panu oświadczyć, że widzieć pana kiedykolwiek w moim domu będzie dla mnie wielką nieprzyjemnością, a także i mojej żonie: jest ona słabego zdrowia i zapach dzięgciu jej szkodzi. Żona moja odsyła pańskiej małżonce jej książkę, zostawioną u nas — „Don Kichota de la Mancha“, z podziękowaniem. A co się tyczy pańskich kałoszy, rzekomo zapomnianych przez pana w czasie ostatnich odwiedzin, to, niestety, zawiadamiam pana, że nigdzie ich nie znaleziono. Szuka się ich jeszcze ciągle, jeśli się jednak nie znajdą, kupię panu nowe.

Zresztą, mam zaszczyt pozostać i t. d.

VIII

Dnia 16-go listopada, Piotr Iwanowicz otrzymuje z poczty dwa listy pod swym adresem. Otworzywszy pierwszą kopertę, wyjmuje zapisek, szczególnie jakoś złożony, na bladoróżowym kartoniku. Pismo jego żony. Zaadresowany jest do Eugenjusza Mikołajewicza, nosi datę 2-go listopada. W kopercie niczego więcej nie było. Piotr Iwanowicz czyta:

Drogi Geniu! Wczoraj absolutnie było niemożliwe. Mąż był w domu cały wieczór. Jutro zaś przyjedź koniecznie, punktualnie o godzinie 11-ej. O pół do 11-ej mąż udaje się do Carskoje i wróci o północy. Wściekła byłam całą noc. Dziękuję ci za wiadomości i korespondencję. Co za masa papieru! Czy naprawdę wszystko to pisała ona? Zresztą, styl jest jej; dziękuję ci bardzo; widzę, że mnie kochasz. Nie gniewaj się za wczoraj i przyjdź jutro, zaklinam na Boga.

A.

Piotr Iwanowicz rozpieczętowuje drugie pismo.

Piotrze Iwanowiczu!

Noga moja i bez tego nigdyby już nie stąpiła na próg pańskiego domu; bezpotrzebnie się pan trudził i psuł atrament i pióro.

W przyszłym tygodniu wyjeżdżam do Symbirsk, a przyjacielem i druhem nieocenionym i najdroższym zostanie dla pana Eugenjusz Mikołajewicz, życzę powodzenia, a o kalosze niech się pan nie troszczy.

IX

Dnia 17-go listopada, Iwan Piotrowicz otrzymuje z poczty miejskiej dwa listy pod swoim adresem. Otworzywszy kopertę pierwszą, wyjmuje zapisek, niedbale i naprędce napisany. Pismo jego żony; zaadresowany jest do Eugenjusza Mikołajewicza, nosi datę 4. września. W kopercie niczego więcej nie było. Iwan Piotrowicz czyta:

Żegnaj, żegnaj mi, Eugenjuszu! Bóg zapłać ci i za to. Bądź szczęśliwy, ciężko mnie los doświadcza, okropnie! Pańską to było wolą. Gdyby nie cioteczka, nigdybym była panu tak nie zaufała. Jutro mój ślub. Cioteczka zadowolona, że znalazł się dobry człowiek i bierze mnie bez posagu, Dziś po raz pierwszy spojrzałam na niego uważnie. Wydaje mi się tak dobrym. Nalegają na mnie. Żegnaj, żegnaj pan... Gołąbku mój!! Wspomnij pan bodaj czasami o mnie, bo ja pana nigdy nie zapomnę. Żegnaj mi! Ostatni ten list swój podpiszę tak, jak pierwszy... pamiętasz?

Tacjana.

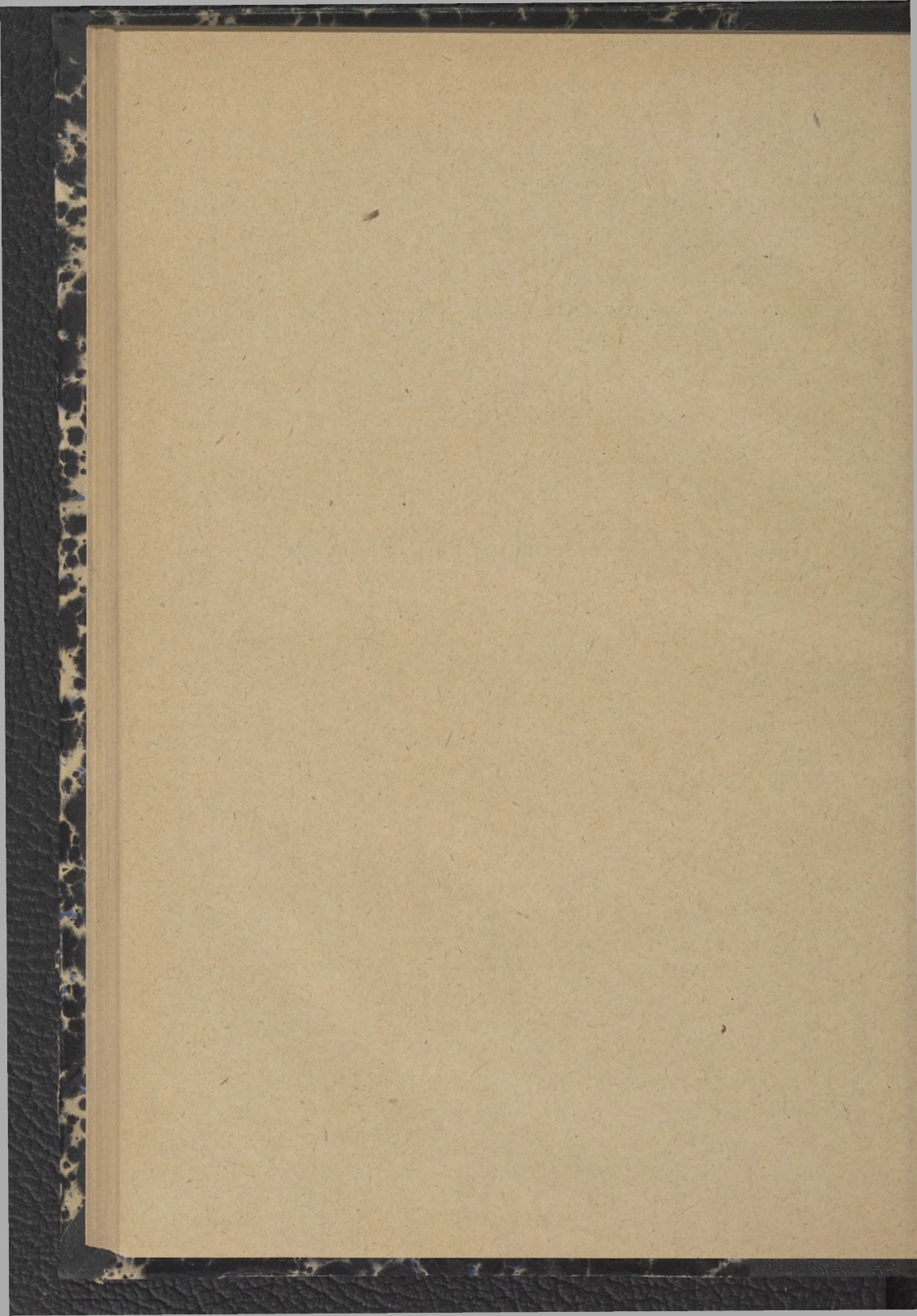
W drugim liście było, co następuje:

Iwanie Piotrowiczu! Jutro otrzyma pan nowe kalosze, ja nie mam zwyczaju niczego wyciągać z cudzej kieszeni, a także nie lubię na ulicy szczątków wszelakiego śmiecia i nie zbieram ich.

Eugenjusz Mikołajewicz w tych dniach wyjeżdża do Symbirska, w sprawie swego dziadka, i prosił mnie, bym mu się postarał o przewodnika: czy nie miałby pan ochoty?



ZANIM KSIĄŻKA ZAWARTA ZOSTANIE...



W roku ubiegłym, 1921, obchodził cały świat kulturalny setną rocznicę urodzin, a czterdziestą śmierci jednego z największych poetów ludzkości i zarazem jednego z najgłębszych znawców duszy człowieczej — Fiodora Dostojewskiego.

Wielki ten twórca znany jest także Polsce i Polakom, nie w tym stopniu jednak, w jakim znany jest w Europie zachodniej, a także w Skandynawji lub w Niemczech, gdzie kompletne i na wysokim poziomie artystycznym utrzymane wydania dzieł twórcy „Braci Karamazowów“ w staranych przekładach, bynajmniej nie ostatnich lat są zjawiskiem. Polsce brak jest, niestety, dotychczas takiego pełnego wydania pism Dostojewskiego, to też genialny ten znawca i analityk psyche ludzkiej nie oddziałał tu w tym stopniu na pogłębienie ujmowania zawiłych problemów życia przez ogół artystów pióra jak gdzieindziej. Szkoda wielka.

Niektóre dziedziny twórczości Dostojewskiego zupełnie nie są znane polskiemu czytelnikowi, inne niedostatecznie. Odnosi się to przede wszystkim do jego pism humorystyczno-satyrycznych. Często spotyka się u nas ludzi, nawet wśród warstw wykształconych, którzy nie wiedzą nawet, że Dostojewski, ten poważny i posępny tragiczny mroczny przeżyć człowieka-zbrodniarza i człowieka-obłąkańca, wyrzutka czy więźnia, patrzył czasami na charaktery i sprawy ludzkie z innego kąta widzenia,

z wesołym, niekiedy sarkastycznym, albo i szyderczym uśmiechem. Jakgdyby zmęczony ciągłym patrzeniem w mikroskop, na którego dnie przesuwały się przed jego oczami badacza i mędrca nieprzeliczone kultury *Bacilli humani*, odsuwał czasami od siebie to wszystko, co rodziło w duszy jego upiorne wizje piekła ziemskiego, a brał do rąk wypukłe zwierciadło, nastawiał je na świat i bawił się sam może jego obserwacją.

Czynił to z lubością i wielkiem powodzeniem zwłaszcza ten Dostojewski w sile męskiego wieku, w czasie, gdy minęła już gorąca młodość, a nie nastąpiła jeszcze zimna starość! Nawet w śniegach dalekiego Sybiru będąc mieszkańcem katorgi (byłoby wprost dziwne, gdyby tradycyjny zwyczaj wszystkich rządów Rosji wysyłania najlepszych synów jej narodu do tajg, jeśli nie do grobu, oszczędził był autorowi „Wspomnień z martwego domu“ tej męczarni!), nie zgubił Dostojewski swego wypukłego zwierciadła ciętego satyryka. Tam powstały obie jego humorystyczne powieści „Sen wujaszka (Z kronik miasta Mordasowa)“ i „Wieś Stiepanczikowo i jej obywatele“ — obie wysokiej wartości artystycznej, jak wszystko, co wyszło z pod pióra Dostojewskiego.

Głęboki znawca Dostojewskiego, W. Rozanow, zaznacza, że twórcza praca autora nad temi obiema powieściami, — w Sybirze, — „była, zda się, pragnieniem człowieka, dawno zmarłego dla literatury i życia, by znowu poczuć się żywym — widzieć stronicę, rozbrłyście scenami, jakie wyszły z tej, dawno pogrzebanej głowy...“

Dziwnym zbiegiem okoliczności na dziedzinę humorystyczno-satyryczną twórczości Dostojewskiego wcale niemal w Polsce nie zwrócono uwagi, mimo, że nierzadko słyszy się teoretyczne twierdzenie, iż sarmackiej naturze Polaka rzeczy pogodne w sztuce bliższe są od koszmarnych wizyj twórców, hołdujących estetyce szpetności.

Z nowszej literatury rosyjskiej czytelnik polski zna „Sarina“ Arcybaszewa, galerię bosiaków Gorkiego, a nawet wstrętną „Jame“ Kuprina (tę ostatnią aż w dwu wydaniach!), a nie ma sposobności przeczytać po polsku np. takiego Sałykowa Szczedrina, zbyt rzadko spotyka się z Czechowem, a głośne w świecie nazwisko genialnego Gogola, jednego z najciekawszych satyrycznych twórców Wschodu Europy, byłoby dlań pustym dźwiękiem, gdyby nie teatralny „Rewizor z Petersburga“.

A właśnie teraz, gdy twarda rzeczywistość przywala nas okropnem brzemieniem nieznośnych stosunków powojennych i panoszącego się w nich bezczelnie wszelkiego plugastwa, głupoty i nihilizmu etycznego, należałoby dać inteligentniejszemu czytelnikowi możliwość zdrowego pośmiania się i beztróskiego odpoczynku duchowego na parę godzin, darząc go książkami w rodzaju zbiorku niniejszego. (Nie znaczy to wcale, że wszystko inne należy przekreślić.)

Z tego założenia wychodząc, przygotowano przekład wybranych rzeczy pogodnych Dostojewskiego*). Nie są to bynajmniej utwory mniej wartościowe od innych dzieł jego pióra, mimo, że niektórzy krytycy rosyjscy, jak np. Słuczewskij, dopatrują się w nich — wpływu Gogola. Owszem, posiadają nawet zalety, gdzieindziej w sztuce jego nie ujawnione, bo swoiste tylko sytuacjom i typom humorystycznym. Wyliczać ich nie potrzeba, tem bardziej, że polska krytyka literacka z pewnością sama je podkreśli, choćby np. arcyciekawy stosunek autora do kobiety w tryptyku powyższym, stanowiący odwrotną stronę medalu, jeśli się go zestawi z taką Sonją z „Winy i kary“ lub „Cichą“ („Krotkaja“), powinien wzbudzić jej zainteresowanie. W tym wypadku, twierdzenie wyżej wspomnianego

*) Oprócz tomu niniejszego znajduje się pod prasą także powieść p. t. „Sen wujaszka“ w przekładzie podpisanego tu tłumacza

krytyka i biografa rosyjskiego, że „Dostojewski był dla towarzystwa kobiecego obojętny, a nawet miał do niego pewną antypatię, i rzadko tylko, — jak to sam zaznacza w jednym ze swych listów z zagranicy 1862 r., — zdolny był do przyhołubienia młodej Wenecjanki w gondoli” — urośnie do wymiarów głębszego symbolu...

Trochę chronologii — dla informacji.

Pierwsza z zamieszczonych tu w przekładzie humoresek, t. j. „CUDZA ŻONA I MAŻ POD ŁÓŻKIEM“, w tej postaci, jak ją tu widzimy, wykończona została przez Dostojewskiego w r. 1865 dla pierwszego zbiorowego wydania pism jego.

Zrazu były to dwie osobne humoreski (p. t. „Cudza żona“ i „Zazdrosny mąż“, obie napisane w r. 1848) — w kilkanaście lat później związane zostały w jedną całość.

Ostatnia — „ROMANS W DZIEWIĘCIU LISTACH“ — pochodzi z roku 1847.

Obie stanowią tu dwa skrzydła wesołego tryptyku, którego obraz środkowy, — najciekawszy, — przedstawia groteska satyryczna p. t. „KROKODYL“ z roku 1865. A najciekawszy dlatego, bo groteska ta, jakkolwiek napisana przez Dostojewskiego przed kilkudziesięciu laty, ma w swem satyrycznym zacięciu pewien rys, bardzo aktualny. Obecnie, gdy bolszewizm i bolszewicy, ta pozorna antypoda caryzmu i carskiej absolutystycznej, „żelaznej“ biurokracji, rzucili całą Rosję, Ukrainę i inne, sąsiadujące z Rosją terytoria narodowościowe, w odmet tragedji setki milionów ludzi, niektóre powiedzenia największego pisarza Rosji nabierają szczególnej wagi i osobliwego oświetlenia. Dostojewski gorąco miłował szerokie masy ludowe, wiwisekcionowane dziś bez litości przez krwawych oligarchów bolszewickich dla „eksperymentu dziejowego“ i własnego interesu.

„Z krokodyla wyjdzie teraz prawda i światłość!...“
(str. 86).

Czyż to jego powiedzenie, włożone w usta głównej postaci groteski satyrycznej, nie brzmi jak gorzka ironja wielkiego jasnowidza, który był nietylko genialnym artystą, ale i wybitnym społecznikiem-myślicielem? W sztuce swej i publicystyce dawał on niejednokrotnie wyraz swym antypatjom ku temu wszystkiemu, co jest zgnilizną i próchnem zbutwiałem w kulturze Zachodu Europy. Był głęboko przzeświadczonego „wostocznikiem“. Ale w swej genialnej intuicji nie mógł Dostojewski nie przewidywać, do czego doprowadzą chłopca i robotnika rosyjskiego tacy, którzy i dziś w swem frymarczeniu tym chłopcem, robotnikiem, całą ziemią rosyjską, i nie tylko rosyjską, tak podobni są do wzmiankowanego przezeń w „Krokodylu“ Ignatja Prokoficza, „znakomitego teoretyka“ i projektodawcy reform socjalno-ekonomicznych.

I bynajmniej nie byłoby to paradoksem, jeśliby ktoś zaryzykował twierdzenie, że np. całą, wplecioną w groteskę Dostojewskiego mowę Ignatja Prokoficza (str. 77, 78) czyta się dziś tak, jakby żywcem wycięta została z bolszewickiej „Prawdy“ lub odstenografowana podczas wszechbolszewickiego kongresu rad w Moskwie w r. 1922!

„Należy przedewszystkiem dać koncesję zagranicznym spółkom akcyjnym na wykupienie ziem naszych, całemi gubernjami... Gdy już cała ziemia (rosyjska) będzie w rękach koncesjonowanych towarzystw zagranicznych, wtedy można wyznaczyć dowolne czynsze za wydzierżawienie...“ itp. itp.

Czyż nie to samo mówią i czynią dziś Leninowie, semiccy Zinowjewy, Troccy, Nachamkiesy-Stieklowy et tutti quanti?

Jeśliby Dostojewski żył dzisiaj, to za sarkazm swego „Krokodyla“ z pewnością conajmniej siedziałby w lochach czrezwyczajki, taksamo, jak siedział „żywcem pogrzebany

i zakopany w trumnie“ — jak pisał w r. 1854 — w sybirskiej katordze za inną „niebłagonadiożność“.

Dziś też dopiero widzi się, jak absurdalne było posądzenie Dostojewskiego przez pewne współczesne mu, liberalne koła rosyjskie, że ostrze satyry swej w „Krokodylu“ wielki ten pisarz zwrócił przeciw... słynnemu działaczowi społecznemu Rosji tych czasów i powieściopisarzowi — Czernyszewskiemu. Ponieważ Dostojewski sam (w r. 1873 w „Graźdanie“) odpowiedział na tę inwektywę, jest obowiązkiem sumienności przytoczyć, bodaj w skróceniu, tę jego odpowiedź. Oto ona :

W sprawie osobistej

„Nieraz już wzywano mnie do napisania moich pamiętników literackich. Nie wiem, czy je napiszę, bo mam słabą pamięć; wspominać, wogóle nie lubię. Niektóre jednak epizody mojej działalności literackiej mimowoli przedstawiają mi się z nadzwyczajną wyrazistością, nie bacząc na słabą pamięć. Oto, naprzykład, jedna anegdota:

Pewnego wiosennego rana odwiedziłem był ś. p. Jegora Piotrowicza Kowalewskiego. Podobała mu się moja powieść „Wina i kara“, która pojawiła się wtedy w „Russkim Wiestniku“. Chwalił ją gorąco i wręczył mi pewne cenne dla mnie omówienie jej, napisane przez autora, którego nazwiska wyjawić nie mogę.

W czasie naszej rozmowy weszli do pokoju dwaj wydawcy dwu czasopism. Jedno z tych czasopism pozyskało sobie później niebywałą dotychczas w żadnym z naszych miesięczników liczbę prenumeratorów, wtedy jednak dopiero zaczynało się ukazywać. Drugie, przeciwnie, kończyło już swe uwagi godne i pełne wpływu na literaturę i publiczność istnienie; wtedy jednak, tego rana, wydawca

jego nie wiedział jeszcze, że jego czasopismo znajduje się już tak blisko od swojego brzegu. Z tym oto wydawcą wyszliśmy do drugiego pokoju i pozostaliśmy sami.

Nie wymieniając jego nazwiska, powiem tyle tylko, że pierwsze moje z nim spotkanie w życiu, było nadzwyczaj gorące, do rzędu niezwykłych należące i wiecznie dla mnie pamiętne. Być może, że i on je pamięta. Wtedy jeszcze nie był on wydawcą. Potem zaszły różne nieporozumienia. Po moim powrocie z Sybiru spotykaliśmy się bardzo rzadko, raz jednak wypowiedział do mnie słowa bardzo ciepłe i przy tej sposobności wskazał mi na pewne wiersze, — najlepsze z tych, jakie kiedykolwiek napisał. Dodam, że z wejrzenia i obyczajów, nikt mniej od niego nie wyglądał na poetę, a do tego z rodzaju „cierpiętników“. A tymczasem jest to jeden z najbardziej namiętnych i ponurych naszych poetów-„cierpiętników“.

— No, więc nawymyślaliśmy panu, rzekł (t. j. w jego czasopiśmie, za „Winę i karę“).

— Wiem, — odpowiedziałem.

— A wie pan, dlaczego?

— Dla zasady, zapewne.

— Za Czernyszewskiego.

Ostępiałem ze zdumienia:

— N. N., który napisał krytyczny artykuł, — mówił dalej wydawca — powiedział do mnie tak: „Powieść jego jest piękna, ponieważ jednak nie wstydził się on przed dwoma laty w swem opowiadaniu szydzić z nieszczęsnego wygnańca i skarykaturować go, to ja wyszydzę jego powieść.

— A zatem jest to ciągle jedna i ta sama głupia plotka o „Krokodylu“? zawołałem, pojmując. Czy i pan w nią wierzy? Czytał pan sam to opowiadanie, „Krokodyla“?

— Nie, nie czytałem.

— Wszak to plotka, najpotworniejsza plotka pod słońcem. Trzeba chyba mieć bystrość i czucie poetyckie Bułgarina, by w tej opowieści swobodniej, dla śmiechu, wyczytać między 'wierszami taką „obywatelską“ alegorię, i to jeszcze o Czernyszewskim! Gdyby pan wiedział, co to za niedorzeczne naciąganie! Nigdy zresztą nie daruję sobie, że przed dwoma laty nie zaprotestowałem przeciwko tej podłej potwarzy, gdy tylko puszczono ją w obieg!

Rozmowę tę z wydawcą czasopisma, obecnie dawno już zgasłego, miałem przed siedmiu laty i dotychczas nie zaprotestowałem przeciw „potwarzy“; raz lekceważyłem sobie ją, to znowu „nie miałem czasu“! Tymczasem niski ten postępek, przypisywany mi, pozostał we wspomnieniach niektórych osób faktem niewątpliwym, krążył po kółkach literackich, przesiąknął i do publiczności i niejednokrotnie już sprawiał mi nieprzyjemności. Pora już najwyższa wypowiedzieć się o tem wszystkim bodaj jednym słowem, tem bardziej, że jest to teraz na czasie, i należy, jakkolwiek gołosłownie, przecież jednak zbić tę potwarz, zresztą także w najwyższym stopniu gołosłowną. Długim swem milczeniem i lekceważeniem jej dotychczas jakgdybym sam ją potwierdzał“.

I Dostojewski następnie szczegółowo opowiada o całym przebiegu swej znajomości z Czernyszewskim, którą nawiązał z nim w r. 1859 po swym powrocie z Sybiru. Stwierdza, że Czernyszewski „podołał mu się i z całej postawy i z manier“, zaznacza, że chociaż niektórzy przypisywali charakterowi Czernyszewskiego pewną surowość i nietowarzystwość, on, Dostojewski, owszem, uważał, że „rzadko się spotyka człowieka bardziej miękkiego i serdecznego“ od Czernyszewskiego. Opowiada wreszcie, że obaj z Czernyszewskim odwiedzali się nawzajem, choć

nie nazbyt często, zawsze jednak i przy każdym spotkaniu podawali sobie dłonie do uścisku. Znajomość ich doznała następnie przerwy, bo Dostojewski przeniósł się na całych dziewięć miesięcy do Moskwy, a później Czernyszewski został aresztowany i zesłany na Sybir.

„Nigdy niczego — podaje Dostojewski — nie mogłem się dowiedzieć o jego sprawie i nie wiem dotychczas.

W półtora roku później, powziąłem pomysł napisania pewnej bajki fantastycznej, w rodzaju naśladowania powieści Gogola „Nos“. Nigdy jeszcze nie próbowałem pisać w rodzaju fantastycznym. Była to czysto literacka igraszka, wyłącznie dla śmiechu. Przedstawiło mi się, po prostu, parę komicznych sytuacji, które zachciało mi się rozwinąć“.

Z kolei podaje Dostojewski krótką treść „Krokodyla“ i charakterystykę osób, w opowiadaniu tem występujących, przyczem główną postać, połkniętego przez krokodyla, czynownika, charakteryzuje w sposób następujący:

„Czynownik to średniej rangi, ale też i jeden z tych, którzy mają pewne warunki do niezależności, młody jeszcze, lecz zajadły samolub, przedewszystkiem głupiec, podobnie jak i niezapomniany major Kowalew, który utracił swój nos (w op. Gogola, — przyp. tłum.) jest on komicznie przekonany o swych wielkich zaletach, połowicznie wykształcony, uważa się jednak za geniusza, w biurze mają go za człowieka próżnego, i stale obrażony jest tem, że nie zwraca się na niego powszechnie uwagi. Jakgdyby mszcząc się za to, musztruje i tyranizuje swego przyjaciela, bez oznaczonego charakteru, wynosząc się ponad niego bystrością swego umysłu. Przyjaciel nienawidzi go, ale znosi wszystko dlatego, bo w tajemnicy podoba mu się jego żona, która znowu jest kobietką młodą i ładną, „czysto petersburskiego typu“, głupiotką kokietką średnich sfer“.

Dostojewski zaznacza, że żartobliwe opowiadanie p. t. „Krokodyl“ jest nieskończone. „Kiedyś go z pewnością dokończę“, zaznaczył. Nie dokończył go jednak.

A oto, co zrobiono z tej drobnej rzeczy. Gdy tylko opowiadanie to pojawiło się w czasopiśmie „Epoka“ (w 1865 r.), nagle „Głos“ zamieścił we feletonie dziwną uwagę. Coś w tym rodzaju: „Naprawdę autor „Krokodyla“ wstępuje na tę drogę; nie przyniesie mu to ani zaszczytu, ani oczekiwanego pożytku“ i t. d. I następnie kilka bardzo mglistych i wrogich ukłuć. Przeczytałem pobieżnie, niczego nie rozumiałem, widziałem w tym tylko dużo jadu, nie wiedziałem jednak za co. Mglisty ten i feletonowy głos nie mógł mi, rozumie się samo przez się, zaszkodzić; nikt z czytelników zarówno go nie rozumiał, jak i ja sam; ale w tydzień później N. N. S. rzekł do mnie: „Wie pan, co oni tam myślą? Są tam przeświadczeni, że pański „Krokodyl“ jest alegorią, historią wygnania na Sybir Czernyszewskiego, i że pan chciał przedstawić i wyśmiać Czernyszewskiego“. Zdziwiłem się, nie bardzo jednak byłem zaniepokojony; mało to bywa rozmaitych domysłów? Zdanie to uważałem za zbyt jednostkowe i naciągnięte, by mogło ono pójść w kurs, i uważałem za rzecz zupełnie zbyteczną wszelkie protestowanie przeciw temu. Nigdy sobie tego nie daruję, bo zdanie to utrwaliło się i poszło w kurs. *Calumniare audacter, semper aliquid haeret.*

Jestem zresztą i teraz przekonany, że w każdym razie nie było to oszczerstwo... Była to poprostu tępota, uparta, złośliwa tępota jakiejś głowy „z kierunkiem“...

Co za alegoria? No, oczywiście, krokodyl przedstawia — Sybir; pyszałkowaty i lekkomyślny czynownik — Czernyszewskiego. Wpadł on w krokodyla i ciągle jeszcze żywi nadzieję, że nauczy cały świat...

A więc przypuszczano, że ja, sam były wygnaniec i mieszkaniec katoggi, napisałem wesoły paszkwil o podobnym wypadku...

Niech mi kto raczej zarzuci cokolwiek bodaj z całego mego życia na dowód, że podobny jestem do złego pamflecisty bez serca i że można było oczekiwać odemnie takich alegoryj“.

Dostojewski, z naciskiem podkreśla, że nieszczęściu Czernyszewskiego zawsze szczerze współczuł i współczuwa. I kończy:

„A może to nienawiść z powodu różnicy zapatrywań? Skądże? Czernyszewski nigdy nie urażał mnie swemi zapatrywaniami. Można bardzo szanować człowieka, rozchodząc się z nim w zapatrywaniach „radykalnie“.

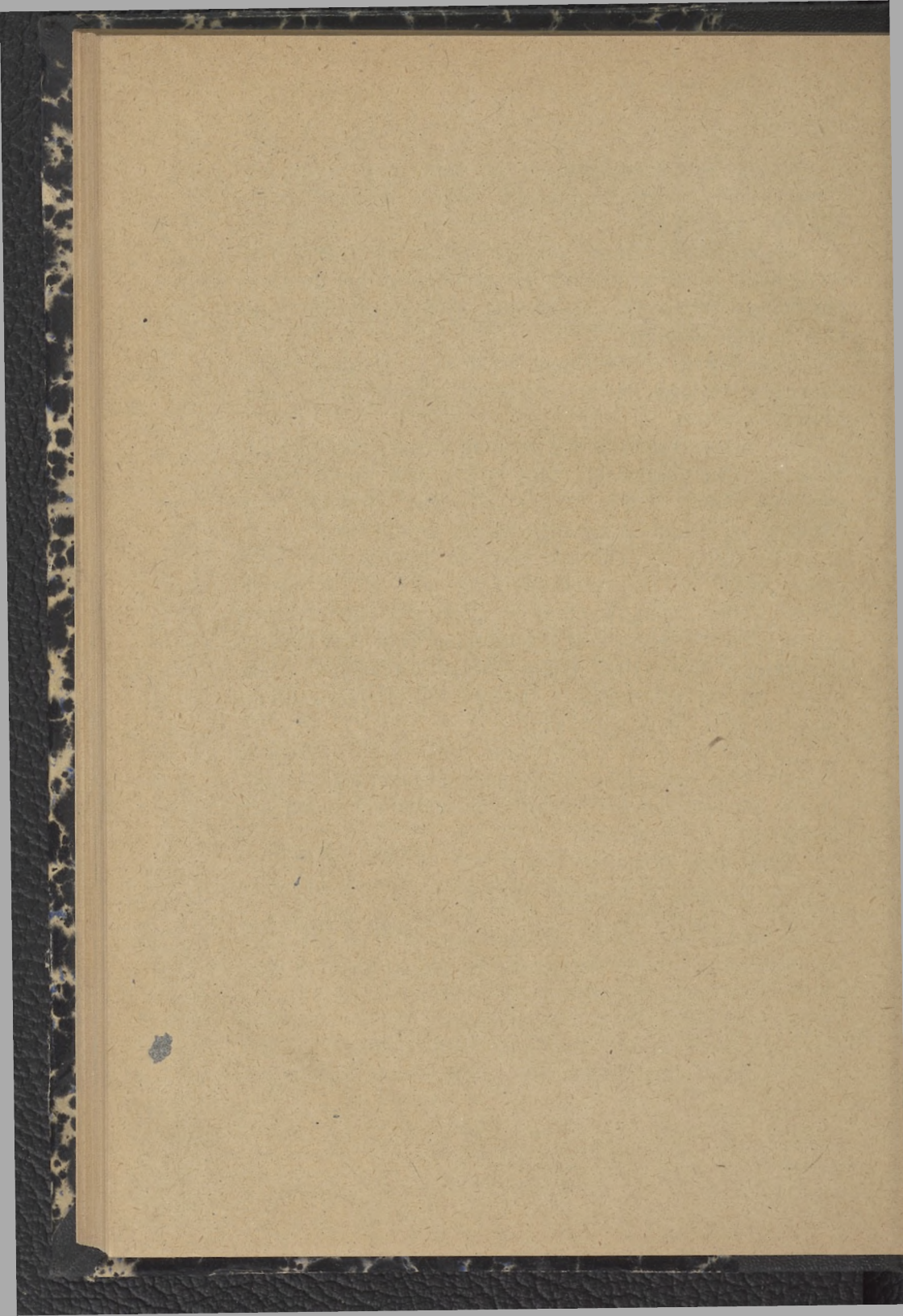
I powołuje się wkońcu, jako na dowód swej lojalności wobec Czernyszewskiego na fakt, że w piśmie, przez siebie redagowanem, w „Epoce“, zamieszczony został artykuł krytyczny o „znakomitej“ powieści Czernyszewskiego „Co czynić“ („Czto diełat“) z winnem uznaniem dla umysłowości i talentu Czernyszewskiego, „o czym nikt nigdy nie wątpił“.

„Złości mnie to bardzo, że tym razem mówiłem o sobie. Oto, co znaczy pisać pamiętniki literackie; nigdy ich nie napiszę. Bardzo żałuję, że niewątpliwie nadużyłem cierpliwości czytelnika.“

Tyle słów Dostojewskiego.

We Lwowie w kwietniu 1922 r.

Sydir Twerdochlib



SPIS RZECZY

	Str.
1. Cudza żona i mąż pod łóżkiem (Zdarzenie niezwykle)	5
2. Krokodyl (Zdarzenie niezwykle)	59
3. Romans w dziewięciu listach	109
4. Zanim książka zawarta zostanie	129





ZNAJDUJE SIĘ W DRUKU I NIEBAWEM WYJDZIE :

FIODORA DOSTOJEWSKIEGO

SEN WUJASZKA

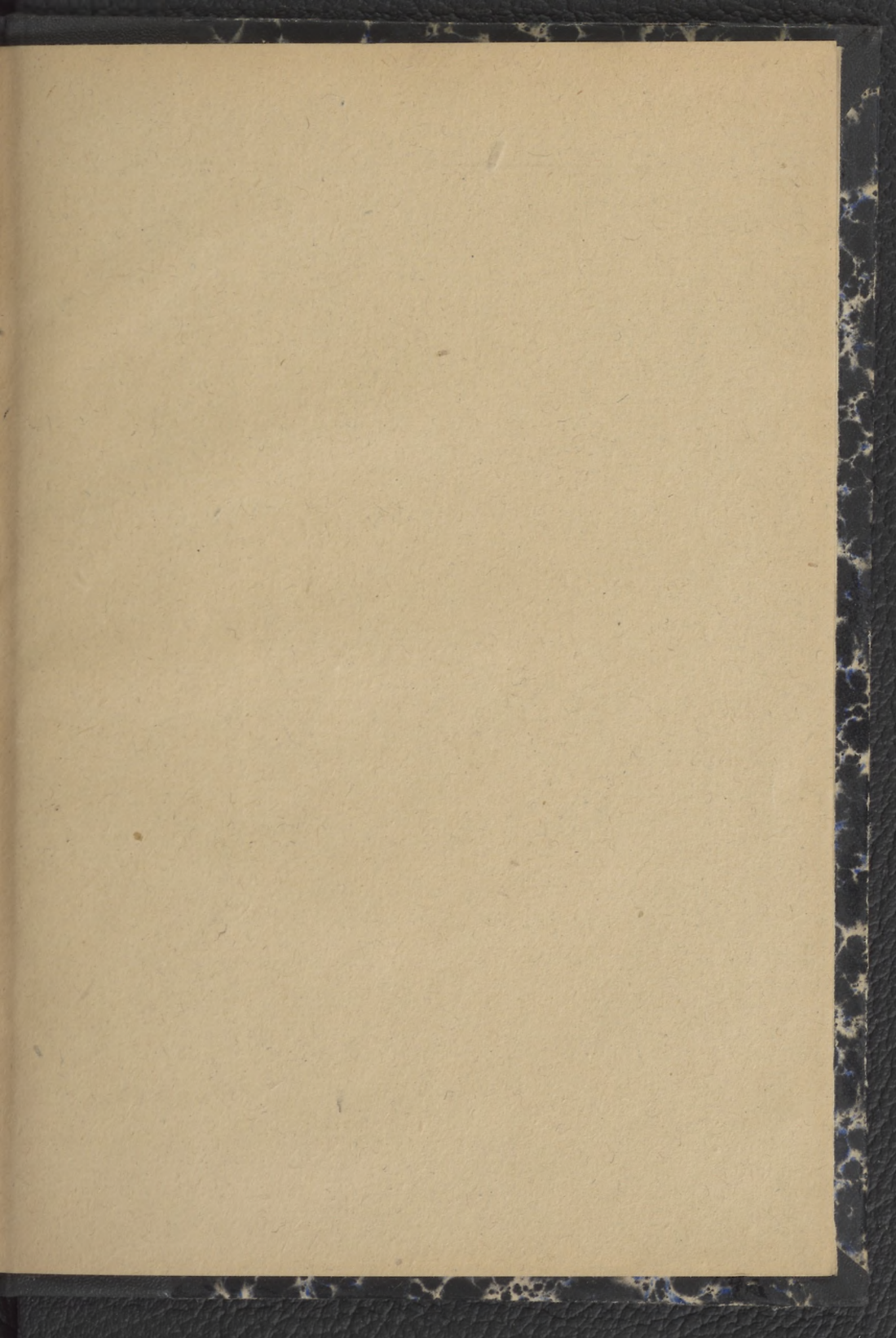
POWIEŚĆ

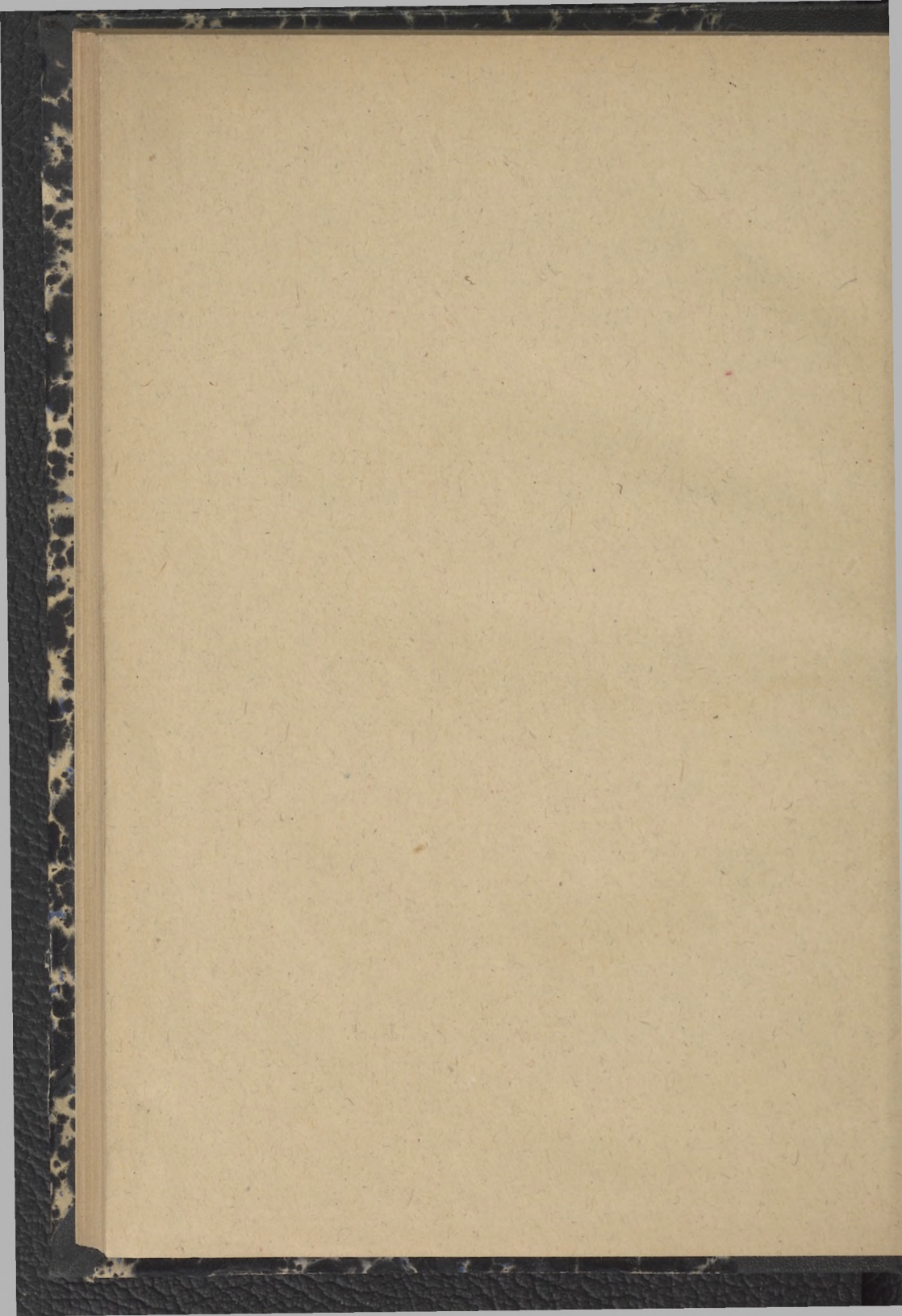
Z KRONIK MIASTA MORDASOWA

W TŁUMACZENIU SYDIRA TWERDOCHLIBA

NAKŁADEM „WYDAWNICTWA DZIEŁ PO-
GODNYCH“ LWÓW, DĄBROWSKIEGO L. 12







12. -

Ant. Nauk
Kraków 3.10.86
12.00,-



14 157 10 -

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001020736536